

# TYGODNIK KOBIECY

Nr. 3-4

26 stycznia  
1936 r.

CENA  
50 GR.



Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

*Binden.*

1. SUKNIA WIZYTOWA  
Z GRANATOWEJ KREPY  
WEŁNIANEJ. RĘKAWY GAR-  
NIROWANE MARSZCZE-  
NIEM Z BIAŁEJ ŻORZĘTY –  
ZAMIĄST GUZIKÓW KWIATY  
ŻORZĘTOWE. PHOTO PARA-  
MOUNT.

2. SUKNIA BALOWA Z KO-  
RONKI W KOLORZE KOŚCI  
SŁONIOWEJ WYKOŃCZO-  
NA FUTREM. PHOTO PARA-  
MOUNT.

3. TA SAMA SUKNIA Z ŻA-  
KIETEM KORONKOWYM.



6580 IV

Wzrost



# TYGODNIK KOBIET

ORGAN KOBIECEJ SPÓŁDZIELNI WYDAWNICZEJ.

Rok II Nr. 3 - 4.

26 stycznia 1936 r.

## W POSZUKIWANIU NOWYCH DRÓG

W dobie, gdy wszystko na świecie, ulega przekształceniom i modyfikacji, niewątpliwie i formy życia stowarzyszeniowego, przybrać muszą odmienne, niż dotychczas charakter, oprzeć się też muszą na nowoczesnych metodach współpracy i solidarności gospodarczej i moralnej.

Z inicjatywą w tym względzie wystąpiły Stany Zjednoczone Północnej Ameryki, tworząc kluby, które przyjęły się szybko w Anglii, a z wolna przenikają na kontynent europejski.

Trudno obecnie spotkać amerykańkę lub angielską, któraby nie miała „swego” klubu, gdzie ogniskuje swoje osobiste życie i gdzie przeważnie koncentruje swoją działalność społeczną.

Różne bywają typy klubów; nas, kobiety, pracujące, interesują przede wszystkim kluby kobiet pracujących, powstałe w Stanach Zjednoczonych Ameryki, a zgrupowane w organizacji tak zwanej „National Federation of Business and Professional Women's Club's”, mającej na celu obronę i popieranie interesów zawodowych i ekonomicznych kobiet pracujących.

Zwolna na powierzchni Stanów Zjednoczonych prawie w każdym mieście powstały takie kluby i stały się potęgą moralną i materialną, o poważnym zasięgu wpływu na najpoważniejsze zagadnienia państwa.

W 1930 r. podczas jednej wycieczki do Europy powzięto myśl zorganizowania federacji międzynarodowej, opierając się na życzliwych stosunkach, nawiązanych w czasie licznych do Europy wycieczek, z kobietami pracującymi zawodowo w 16 krajach. Zebranie organizacyjne odbyło się w Genewie, a już w lipcu 1931 roku, zebrał się w Wiedniu kongres międzynarodo-

wy tej organizacji. Przewodniczącą tej międzynarodówki została p. L. M. Phillips, adwokat z New-Yorku, i odtąd ta organizacja rozwija swą działalność, szukając nowych dróg przez współpracę międzynarodową ku polepszeniu doli kobiety pracującej.

Niestety, prace te przypadły na trudny bardzo okres kryzysu we wszechświecie i wymagają więcej, niż kiedykolwiek poczucia solidarności i zrozumienia idei samopomocy.

Międzynarodowa Federacja wytknęła sobie jako zadanie: 1) wytworzyć serdeczne i pożyteczne stosunki między kobietami (pracującymi zawodowo) całego świata, 2) wspólnie pracować nad obroną interesów kobiet i rozszerzeniem rynków zbytu ich pracy, 3) podnosić poziom społeczny i zawodowy kobiet dla dobra ruchu kobiecego na terenie narodowym i międzynarodowym.

W 22 państwach istnieją obecnie narodowe zjednoczenia kobiet pracujących zawodowo rozwijające swą działalność w ścisłej łączności z organizacją międzynarodową.

W 1934 r. powstało w Polsce Zjednoczenie Kobiet Pracujących zawodowo. Po dłuższym okresie organizacyjnym, ustaliło we własnym statucie cele następujące: łączenie kobiet różnych zawodów; obronę pracy kobiet na podstawie zasady równej płacy za równą pracę; popieranie nowych zawodów; doskonalenie warunków i warunków pracy; pomoc w kształceniu zawodowym; wytwarzanie ośrodków współżycia towarzyskiego i kulturalnego jak: kluby, domy wypoczynkowe i t. d., solidarną współpracę z organizacjami, mającymi te same dążenia w kraju i zagranicą przez bliższe pozna-

nie się wzajemne i współdziałanie kulturalne (wystawy, zjazdy i t. d.).

Działalność swą Polskie Zjednoczenie Kobiet pracujących zawodowo rozwija, przystosowując ją do warunków lokalnych; obok więc komisji równoległych do komisji międzynarodowych, utworzyliśmy sekcje zawodowe, grupujące kobiety jednego zawodu dla spraw ściśle tego zawodu. Mamy już sekcje: plastyczek, muzyczek, pracowników społecznych, kosmetyczek, a w opracowaniu są i inne zawody.

Comiesięczne nasze zebrania klubowe pozwalają nam, po wysłuchaniu jakiegoś aktualnego referatu, dyskutować nad naszymi problemami i wzajem się zbliżać i poznawać.

Referat, poświęcony specjalnie zagadnieniom pracy kobiet odpowiada na ankiety zagraniczne, opracowuje obecnie sprawę położenia ekonomicznego kobiety polskiej, co ma być przedmiotem zainicjowanego przez federację międzynarodową t. zw. „wieczoru międzynarodowego”, poświęconego we wszystkich krajach, dnia 27 lutego r. b. temu zagadnieniu, tak ważnemu obecnie. Referat ten zainicjował ingerowanie u władz naszych w sprawie celibatu przymusowego nauczycielek na Pomorzu. Z inicjatywy tego referatu też podjęta została akcja na wiosnę roku bieżącego i poparta przez zaprzyjaźnione organizacje przeciw ograniczeniu prawa do pracy kobiet, proponowanemu jako środek przeciw bezrobociu przez syndykaty chrześcijańskie. Referat ten zatem czuwa nad naszymi warunkami pracy i w kontakcie z międzynarodową federacją podejmuje akcję, wskazaną w danym momencie. Ostatnio nasze zjednoczenie z 9 innymi urządziło 19 b. m. zbiorową konferencję na

temat szkodliwości ograniczania pracy kobiecej.

Inny, świeżo powstały referat pracy dla samorządu zorganizował kursy, zamieniające nasze członkinie z zagadnieniami samorządu, tą dziedziną tak odpowiednią dla kobiet. Przyznać trzeba, iż kursy samorządowe wzbudziły duże zainteresowanie i cieszą się poważną frekwencją, a powstanie ich wyłoniło się właśnie na ostatnim wieczorze klubowym, po referacie p. L. Wolskiej na ten temat. Tak więc te swobodne pogawędki ujawniają nam przeróżne potrzeby i są impulsem do szukania sposobów zaradzenia im.

Federacja międzynarodowa dąży do ułatwienia prac dotychczasowych i do rozwoju nowych pól do pracy. W pierwszym zakresie na pierwszym planie są wystawy międzynarodowe; odbyły się już wystawy plastyczne w Amsterdamie i Warszawie, a zaprojektowane są w Anglii, Francji i New Yorku. Dają one możliwość sprzedaży tych prac, a z drugiej strony są doskonałym sposobem zaznajomienia publiczności różnych krajów z produkcją artystyczną kobiet.

Poważną pozycją w programie prac międzynarodowych jest turystyka. Produkuje tu Italia, która wykształciła specjalne przewodniczki wśród swych członkiń, dalej doskonale te prace zorganizowała Szwecja i Austria, ta ostatnia liczy się z turystyką, jako poważnym źródłem dochodu i podźwignięcia kraju z trudności finansowych. Polskie Zjednoczenie ma również w planie przyciągnięcie kobiet z zaprzyjaźnionych federacji do zwiedzania naszego kraju, gdzie już gościłyśmy część amerykańskiej federacji, dążącej do Rosji Sowieckiej.

Węgierska Federacja zaprosiła 50 lekarek z różnych krajów, by zwiedziły uzdrowiska węgierskie i urządzenia lecznicze. Naszych 7 lekarek brało udział w tej miłej imprezie, wywołując najmiłsze wspomnienia gościnności węgierskiej.

Poszukiwaniu nowych możliwości do pracy dla kobiet była poświęcona specjalna konferencja w Austrii. Italia i Rumunja wysuwają zatrudnienie kobiet w pracach rolnych. We wszystkich krajach rozwija się poradnictwo zawodowe dla kobiet. Federacja włoska ustanawia poważne nagrody dla literatek i poetek, jako chęć poparcia tych właśnie zawodów.

Z inicjatywy Polskiego Zjednoczenia powstaje międzynarodowa komisja wymiany intelektualnej. Już prace znakomitych polskich pisarek są w Londynie, by zostały opublikowane w angielskich pismach. Oto droga do propagandy, a może i sposób znalezienia nowego rynku zbytu dla naszej twórczości.

A wymiana handlowa interesuje wszystkie federacje. Na czele międzynarodowej komisji wymiany handlowej stoi p. Meijers, holenderka, dyrektorka banku kobiecego i prowadzi studia, jak tę ważną i konieczną wymianę ugruntować w tym obstawionym barjerami celnymi świecie.

Więc naprzód lista wytwórczyń i handlujących z każdego kraju z uwzględnieniem specjalności jego, potem zorganizowanie centrów próbek—ale to jeszcze projekt, który wymaga poważnych studjów. Potem wystawy międzynarodowe i narodowe z zakresu twórczości przemysłowej.

Dla rozwoju tej sprawy i poparcia zainteresowania kobiet handlem i wytwórczością, projektuje się „Business

Women's Week", to jest tydzień kobiecego business'u, więc wytwórczości i handlu, w czasie od 17 marca do 23 tegoż miesiąca. Będzie to rewja sił kobiecych na tem polu, a może i zachęta.

Komisja Wymiany handlowej ma wielkie możliwości konstruktywnej pracy. Wprawdzie kryzys ekonomiczny, dręczący świat, stwarza wiele trudności, lecz z drugiej strony domaga się też świeżej inicjatywy i nowych pomysłów. To też projektuje się w roku bieżącym zjazdy kierowniczek poszczególnych komisji, a szczególnie wymiany handlowej, dla opracowania wspólnie aktualnego i do nowych warunków bytu przystosowanego programu, który stać się winien prawdziwą dla członkiń naszych pomocą.

Rozległy program zatem; lecz tak ściśle związany z zagadnieniami bezpośrednio nam najbliższymi, że pod jego sztandarem winny się skupić wszystkie te kobiety, które w samodzielnej swej pracy szukają nowych horyzontów, a po przez międzynarodową współpracę, dążą do wzajemnego porozumienia i dbają o własne potrzeby zawodowe.

Na dalszym planie, lecz i tak blisko sercem naszym, stoi projekt budowy własnego domu Zjednoczenia, domu Kobiet, w którym skoncentrowałoby się życie jego członkiń. A w jakiej formie chcemy zrealizować to nasze marzenie, nad tem debatuje specjalna komisja. W wielu krajach bogatych, takie domy kobiet ze swymi klubami istnieją, a nawet i mniejsze państwa, jak Czechosłowacja, Rumunja i inne, domy takie posiadają. Więc i my, polki, wyteżmy siły, a słowo czynem się stać musi!

*Anna Paradowska Szelałowska.*

## HELIN, OGNISKO DLA STARCÓW Z INTELIGENCJI

Niepotrzebna starość... to najsmutniejsze słowa, jakie zna słownik człowieka. Zamierają one cichą, a serdeczną krzywdą starości, której los srogi lub zawierucha wojenna zniszczyły ściany domu rodzinnego i skazali ich mieszkańców na tułaczkę wśród obcych. Obejmują one również i gorzkie osamotnienie tej, która zakrzepnięta w bursztynie wspomnień i przeszłości nie może dorównać szybkości tempu życia dzisiejszego. Jakże często nie zła wola bynajmniej, ale ciężka i brutalna walka o byt, która pochłania siły, czas i nerwy młodych.



Obok starego domu wykwiła dwupiętrowy gmach, ostatni wyraz techniki i nowoczesności.



*Wtedy rozżalona myśl biegnie ku obrazowi jakiegoś wspólnego dla starców domu.*

staje się źródłem nieporozumień między niemi a dawnym pokoleniem. Tak powstają konflikty, nierzadko zmieniające się w wielkie tragedie bez winy tych wszystkich istot, których zwycięski pochód nowych ludzi wygnał na wąski skrawek marginesu życia. Wtedy rozżalona myśl biegnie ku obrazowi jakiegoś wspólnego dla starców domu, schroniska, gdzie człowiek stary nie byłby niepotrzebnym pionkiem, przeznaczonym na smutną wegetację, ale przeciwnie gdzie czułby się jednostką jeszcze pożyteczną dla swoich bliźnich.

Właśnie zwiedziłam jedną z licznych placówek tego rodzaju na terenie Polski „Ognisko dla starców z inteligencji” (własność Tow. pomocy inteligencji) w Sulejówku. W suchej i zdrowej okolicy, na dywanie żółtego piasku, w obramowaniu strzelistych sosen, wznoszą się mury schroniska, składające się z dwóch biegunowo różnych gmachów.

Dom pierwszy, dar kobiety wielkiego serca, małżonki genialnego artysty Ignacego Paderewskiego, stanowi barwną malowaną jakiegoś starego dworku wiejskiego. Właśnie w takim domostwie z czerwonych cegieł, w widnych zalanych słońcem pokojach, gdzie do okien zaglądają wachlarze sosen, przepędziła szczęśliwe lata dzieciństwa czy młodości niejedna pensjonariuszka schroniska. Żaden niemiły zgrzyt nie wprowadza do tego wielkiego domu kobiet (Helena Paderewska zastrzegła, aby w tym pawilonie mieszkaly tylko niewiasty) atmosfery koszarowej lub posępnego szablonu przytuliska. Umeblowanie i ozdabianie poszczególnych pokoi wykazuje całą gamę gustu i upodobań mieszkanki czerwonego domu. Więc do ścian tulą się starodawne komód-

ki, wyprostowują swe niemodne kształty stoliki, kuszą swem wygodnym oparciem fotele i kanapki — rzeczy, któreby może w innym otoczeniu raziły staroświecczyną, lecz które tutaj nie zatracają ani trochę dawnej godności i powagi. Z ram obrazów mrugają oślepienie blaskiem słonecznym, jakieś odwieczne landshafty i zbiory sztywnych fotografii rodzinnych. Czas przypruszył te drogie sercom pamiątki szarą patyną i ciemne ich powierzchnie spoglądają na izby niby tafle zamarłych jezior.

Obok starego czerwonego domu wykwiata, jak niespodzianka dwupiętrowy gmach, ostatni wyraz techniki i nowoczesności. Szczere uczucie dumy ogarnia serce, gdy zwiedzam nowy pawilon stanowiący doskonałą ilustrację wspaniałego sanatorium gdzieś w górach Tyrolu lub Alpach szwajcarskich. Przecież w niecały rok zdołało Towarzystwo, i to w dobie szalejącego kryzysu, mimo wielkich trudności natury finansowej, wybudować ten dwupiętrowy gmach. Poświęcenie kamienia węgielnego pod fundamenty nowego pawilonu odbyło się dnia 5-go października 1930 roku, a w grudniu nowy dom stoi już pod dachem. Tempo prawdziwie amerykańskie!!! Podziwiam długie labirynty białych korytarzy, wygodne pojedyncze pokoje (w starym domu mieszkają dwie lub trzy pensjonariuszki, zależnie od wielkości pokoju), łazienki, na każdym piętrze, enfermerię dla chorych, tarasy i werandy. Mimowoli nasuwa się myśl uparta: dlaczego postawiono obok siebie i połączono tak odrębne do dwóch różnych epok należące budowle? Lecz po chwili następuje refleksja. Przecież tu nie chodzi o wrażenie estetyczne zwiedzających gości, tylko o maksimum wygo-

dy mieszkańców ogniska. Brak bezpośredniego połączenia obu pawilonów utrudniałby np. paniom z czerwonego domu w słotne dni jesienne przechodzenie do salonu w nowym gmachu na partyjkę brydża lub na wysłuchanie koncertu radiowego. A tak wystarczy kilka kroków i otwierają się gościnne drzwi do kaplicy pod wezwaniem Chrystusa Króla, kaplicy, która jest przedmiotem dumy nie tylko pensjonariuszów Ogniska, ale i całego Sulejówka, pozbawionego do tej pory świątyni Pana, lub kusi swem wnętrzem wcale zasobną bibliotekę. Właśnie srebrnowłosa babunia wybiera z półki po długim namyśle tom powieści Gąsiorowskiego i po chwili całe grono pań słucha rzewnej historii o miłości królewicza i panny Franciszki Krasińskiej.

Kierowniczką schroniska udziela mi uprzejmie krótkiego streszczenia dziejów Ogniska i jego stanu obecnego. Ta ostoja smutnej samej przez się starości powstała dzięki fundacji Heleny Paderewskiej w roku 1919. Oddawszy na zakład posiadłość z domem, budynkiem gospodarczym, ogrodem, kawałkiem lasu i pola, na przestrzeni około 11 hektarów w bezpłatną dzierżawę Tow. pomocy dla inteligencji, współpracuje małżonka pierwszego premiera w odrodzonej Rzeczypospolitej z zarządem, opłacając kilka wpisów i zasilając od czasu do czasu kasę Tow. znaczniejszym subsydium. W roku 1929 aktem darowizny przekazuje całą posiadłość na własność Towarzystwu. Odtąd zarząd ze zdwojoną energią zabiera się do pracy i postawiwszy sobie za cel rozszerzenie ogniska, stara się przewyciężyć tysiące przeszkód, związane z uzyskaniem długoterminowej pożyczki. Zabiegi te i mrówcza praca członków Tow. nie pozostaje bezowocną i oto już w niedługim czasie obok czerwonego dworku wznoszą się mury drugiego pawilonu i kaplicy Chrystusa Króla. Obecnie w ognisku przebywają 43 osoby, dwa razy w miesiącu przyjeżdża lekarz, a w razie choroby opieka pielęgniarki znajduje się na miejscu. Mieszkańcy ogniska krępowani są jedynie godzinami wspólnego posiłku, pozatem życie w zakładzie płynie pod znakiem indywidualnych upodobań. Więc spragnieni towarzystwa gromadzą się przy partii brydża lub w salonie, gdzie mają do swej dyspozycji fortepian, pisma i radio. Miłośników samotności nęca znów spacer po lesie, gdzie wraz z zapachem żywicy koi strudzone znękanie wędrówką dusze bezmiar ciszy. Ognisko nosi od imienia czcigodnej fundatorki nazwę Helin — jabym nadała tej przystani starości od spokoju, panującego wokół, i drugie miano: „błogosławionej ciszy”...

*Hanna Muszyńska.*

# Żeby tylko nie to...!

Zebrało się nas osób kilkanaście: sędzia dla nieletnich, kuratorzy sądowi, aplikanci, członkowie Towarzystwa Opieki Specjalnej, które zamierza wziąć pod swą opiekę świetlicę w Schronisku dla nieletnich chłopców przy ul. Przejazd.

Jedna brama, druga i wchodzimy na podwórze. Nie jest ono duże, ale wyasfaltowane i czyste; chłopcy spędzają właśnie miotłami deszczową wodę do ścieków.

Po dwóch dłuższych jego stronach ciągną się parterowe budynki o dużych oknach. W lewym mieści się kancelaria, sale sypialne oraz łazienka z ustępem. Sypialnie są wysokie, jasno pomalowane, w dwa rzędy stoją w nich porządnie zaściłane łóżka, a śródkiem, na posadzce, leży gruby chodnik; w łazience zastosowano przede wszystkim celowość: podłogi i ściany do połowy wyłożone są kafkami, ścieki uniemożliwiają zatrzymywanie się wody, rozlanej podczas mycia i opadającej z pryszniców, których jest tu kilka; obok stoi wanna, nieco dalej mieszczą się ustępy. Czysto bardzo: ani cienia jakiegokolwiek bądź odoru, na specjalnych półkach równo wiszą grube, lecz czyste ręczniki i ustawione „na baczność” szczoteczki do zębów.

Przechodzimy do budynku na prawo od wejścia. Przez niewielką sień i korytarzyk dostajemy się do jadalni, za którą mieści się klasa, a dalej widać pokój warsztatowy i kapliczkę. Urządzenie jest wszędzie jasne, dębowe, ławek niema, natomiast stołki, ustawione przed stołami. W warsztatowej szafie rozwieszono i poukładane w karnym ordynku widać narzędzia pracy, ponieważ chłopcy uczą się stolarki, ślusarki, introligatorstwa i koszykarstwa. Oglądamy wyroby gotowe, podziwiając inwencję, pomysłowość i wykonanie niektórych przedmiotów, jak: świeczniki, lichtarze, lampy biurkowe, koszyki i t. p. Przedmioty te wyrabiane są z metalów, szkła, drzewa i t. p. Objaśnień udziela kierownik, pełniący zarazem funkcje nauczyciela.

— Jak długo istnieje Schronisko i dla kogo jest przeznaczone?

— Otworzone zostało w lutym r. b. dla 30-tu nieletnich i przeznaczone jest dla chłopców, których sąd umieszcza tu przewencyjnie do chwili wyroku. Są to przeważnie dzieci ulicy: mali włóczędzy, złodziejaskowie, młodzieńcy o „lewych” nazwiskach i t. p. Niektórych dostarcza tu nowo-otworzona Izba Zatrzymań przy

Główniej Policji Państwowej, innych dostajemy z nakazu skierowania przez Sąd dla Nieletnich. Mamy chłopców najrozmaitszych, a rozpiętość wieku jest znaczna: przebywał tu malec, który miał niepełne dwanaście lat, bywają też siedemnastoletni, ale przeciętny wiek pupilów waha się między 13 a 15 rokiem. To ów nieszczęsny okres, kiedy chłopak, skończywszy szkołę powszechną, nie ma warunków do kształcenia się wyżej, a według ustawy nie może być zatrudniany pracą zarobkową. Zaczyna się więc waleśać baraszkować z kolegami, którzy go niejednego nauczą, ucieka z domu i w dużej ilości wypadków wykoleja się, kończąc swą karierę w Sądzie dla Nieletnich.

— Czy chłopcy uczą się w Schronisku?

— Tak jest. Nie można tego nazwać nauczaniem programowym, bo pupile nasi przebywają tu zaledwie po parę, czy kilka tygodni, zanim zostaną bądź uniewinnieni i wypuszczeni na wolność, bądź skierowani do zakładów poprawczych, czy wychowawczych na zasadzie wyroku lub postanowienia Sądu. W każdym jednak razie mają codziennie 4½ godziny lekcji. Podzieleni są na 3 grupy: analfabetów (którzy zdarzają się obecnie bardzo rzadko!), półanalfabetów, umiejących czytać i pisać, oraz tych, którzy chodzili do wyższych klas szkół powszechnych. Chcemy ich poduczyć i utrzymać w ciągłości pracy. Niektórzy uczą się chętnie, ale zdarzają się też nieprawdopodobne, zatwardziałe leniuchy.

— A warsztaty?

— Chłopcy wogóle lubią majstrować rozmaite drobiazgi, zaś naszych trzeba zająć specjalnie, żeby się nie bili, mieli upust dla temperamentu, trawili czas na godziwej rozrywce i widzieli owoce swej pracy. Niejednokrotnie pod wpływem pobytu u nas, choćby tak bardzo dorywczego, budzą się ukryte zamiłowania i zdolności, które stanowią nieraz bodziec do dalszego kształcenia się w danym kierunku. Oprócz mnie, pracuje tu dwóch t. zw. opiekunów, którzy dozorują chłopców. Właściwie są to strażnicy więzienni, ale ubrani po cywilnemu, aby nie sprawiać wrażenia uciemnionego, nie zastraszać umundurowaniem i wytwarzać atmosferę mniej urzędową. Chłopcy ich lubią, a spełniając sami wszelkie domowe prace (z wyjątkiem gotowania, gdyż posiłki przyznoszone są z niedalekiego więzienia), radzą się ich często i widzą w nich rzeczywiście przyjaciół.

— Czy zdarzają się bójkі?

— Oczywiście, dość często. Jest to wogóle element burzliwy, nieufny, podejrzliwy, trudny do prowadzenia. Staramy się dobrocią i surową bezwzględną sprawiedliwością zjednać ich sobie i zająć do tych zbłąkanych, skrytych, młodych dusz.

— A udaje się to panom?

— Niezawsze. Trzeba jednak w każdym chłopcu znaleźć jakąś słabość, jakiś punkt jego honoru czy ambicji, który stanowi wówczas oparcie dla naszej pracy, aby mogła przynieść pożytek. Czy nie dziwne, że dawniej, gdy nieletni śledczy umieszczani byli na oddziale w więzieniu, mało okazywali wstydu i żalu, a teraz, gdy są w Schronisku, gdy nie mają wokół siebie atmosfery i rygoru więzienia, czują się, jak w „zakładzie” i starają się wybić sprawowaniem oraz nauką. Pisują o tem zabawne i wzruszające listy do rodziców: „Jestem teraz w Schronisku, gdzie mi bardzo dobrze i chciałbym tu zostać długo...”. „Pani sędzia, oddała mnie do takiego zakładu wychowawczego. Uczę się i bardzo tu wesoło. Mam radio i książki do czytania...”. „Zrobiłem w tej szkole ładny lichtarz i poproszę pana, żeby mi go pozwolił zabrać, jak wrócę do domu. Chciałbym się uczyć na takiego robotnika, co właśnie robi takie rzeczy, bo to strasznie przyjemne i dobrze można zarobić...”.

Większa część malców rzeczywiście nie rozumie, gdzie się znalazła. Chłopcy przekonani są, że jest to instytucja wychowawcza, w której pobyt nie przynosi wstydu i której się nie boją.

— A co mieści się tam? — zadaje pytanie jednemu z nich, wskazując mur w głębi podwórza.

— Więzienie! — odpowiada chłopak z ponurym błyskiem oczu i ożywiona dotąd twarz gaśnie. — Tutaj to dooooooobrze. — dodaje samorzutnie, — bardzo dobrze. I uczą, i jeść dają, i... wszystko... A tamci siedzą w więzieniu. Aby tylko nie to! Aby tylko nie do więzienia!

Palą się widne lampy, wesoło świeci mokry asfalt, po którym biegną chłopięce nogi, śpiesząc we wszystkie strony. W salach wre praca, zabawa, nauka... Gra radjo...

Aby tylko nie to... Aby tylko nie to!...

Za murem siedzą ludzie w celach...

Zofja Petersowa.

# REDUKCJA MĘŻATEK

[Z CYKLU „KOBIEITY O SOBIE“

## II.

Przestrzegane dzisiaj z całą surowością redukcowanie kobiet zamężnych zniechęca je w wielu wypadkach do wiedzy fachowej i poważnego traktowania swej pracy. Kobieta czuje bowiem doskonale, że pracować może tylko do chwili zamążpójścia, gdy potem nawet najlepsza opinia zwierzchników i otoczenia nie uratuje jej przed nieuniknioną redukcją. Stwarza to sytuację wręcz humorystyczną. Z jednej strony zakłada się setki i tysiące uczelni dla kobiet, pozwala się im studjować i kształcić narówni z mężczyznami, aby potem jednym posunięciem zburzyć kobiecie tak mozolnie przez nią skonstruowany, gmach wiedzy.

Coraz częściej zadaje też sobie kobieta dzisiaj pytanie „po co się kształcić?” W następstwie takiego nastawienia przersedzą się szeregi kobiet specjalistek w różnych gałęziach wiedzy. Każda z nich bowiem po ukończeniu szkoły średniej zada sobie pytanie, czy się nadaje do spędzenia życia samotnie. Gdyż tylko w tym wypadku warto jej wstąpić na mozolną i trudną drogę wiedzy, na szczytce której czeka ją w nagrodę możliwie długie przetrwanie na samodzielnym stanowisku przy pracy. Jeżeli bowiem dzisiejsze ustawodawstwo dąży do powierzenia zamężnej kobiecie jako jedyne go bezpiecznego i pewnego dla niej miejsca, zajęcie się gospodarstwem, kuchnią i dziećmi, to poco daremnie tracić ma ona swą energię na pogłębianie wiedzy fachowej.

Projektowana redukcja mężatek nie oszczędza bowiem żadnej gałęzi wiedzy zawodowej kobiety w Polsce. Obejmuje ona zarówno kobiety z wyższym wykształceniem, pracujące w biurach lub instytucjach rządowych, komunalnych lub pół-oficjalnych, jak i zwykłe biuralistki. Jednem uderzeniem miecza pragnie się odciąć równocześnie wszystkim kobietom ambicję pracy przy umiłowanym przez nich warsztacie.

Jakże często, niestety, słyszy się dzisiaj bardzo poważnie myślących mężczyzn, zajmujących wysokie stanowiska, mówiących z całym spokojem, powiedziałabym nawet cynizmem, o tej bolesnej i upokarzającej sprawie, jaką jest redukcja mężatek. „Skoro zachciało się jej męża, to niech pracuje teraz dla domu i rodzi dzieci. Czy kuchnia nie jest ołtarzem życia domowego? i t. p.”

A taki pan zapomina zupełnie, że małżeństwo, zwłaszcza z miłości, to naturalny popęd duszy kobiety, to jedyny sposób wyładowania z niej całej zalewającej ją wewnątrz fali ko-

biecości. Czy dlatego ma wyrzec się umiłowanej pracy?

Dlaczego mężczyzna, jeżeli poczuje w sobie głód ojcostwa, lub legalnego małżeństwa, może to czynić zupełnie swobodnie i nikt nie żąda od niego wyrzeczenia się wzajemian pracy.

Jestem pewna, że gdyby panowie opracowujący zapowiedzianą ustawę o redukcji mężatek, przeprowadzili uprzednio kilkadziesiąt rozmów-wywiadów z zainteresowanymi kobietami, nie dobierając zgóry ani wieku, ani rodzaju zawodu, ani osób uprzywilejowanych, napewno ustawa ta nigdy nie ujrzałaby światła dziennego.

Rozstrzygnięcie zagadnienia pozostawienia mężatek przy ich dotychczasowych warsztatach pracy należałoby, mojem zdaniem, pozostawić ich własnej decyzji, przy równoczesnem dokładnem zanalizowaniu wydajności pracy zainteresowanych jednostek i stopnia ich wykształcenia zawodowego, oraz odnoszenia się osobiście do samej pracy. Życie jest bowiem pod tym względem najlepszym regulatorem. Nie wszystkie kobiety lubią swą pracę i nie wszystkie z umiłowaniem się do niej odnoszą. Bardzo często zdarzyło mi się spotkać kobiety, które pracowały w biurze tylko z konieczności, marząc o założeniu własnego domu, rodzeniu dzieci, chowaniu ich, gotowaniu, cerowaniu skarpetek i bielizny i t. p. Takie kobiety napewno skorzystają z pierwszej nadarzającej się im okazji, aby uciec od pracy pod skrzydła domowego ogniska, nie rozczulając się, ani przejmując zbyt nio całą ustawą „o redukcji”. Przeciwnie, dla wielu z tych kobiet redukcja jest doskonałym pretekstem do ucieczki od pracy.

Ale jest i druga kategoria kobiet, które pracują z całym umiłowaniem. Dla nich warsztat pracy jest częścią składową ich własnego „ja” i dla tych kobiet oderwanie od niego jest równą utracie kogoś bardzo bliskiego i bardzo drogiego.

Kobiety, miłujące swój zawód, pracują bardzo wydatnie i często się zdarza, że z ich ubytkiem więcej traci instytucja, w której dana mężatka pracowała, aniżeli ona sama. Kobiety tego typu idą do pracy z całą świadomością, miłując ją, podczas gdy zajęcia domowe uważają za karę niebios. Ich nastawienie mózgowe domaga się szerszych horyzontów, większego rozpędu i wyładowania myśli twórczej, to jest tego wszystkiego, czego pozbawia ją małe zacieśnione kółko domowego życia.

Tym kobietom ciężką krzywdę czy-

ni „redukcja”. Załamuje je moralnie, odbiera radość życia, zaufanie we własną wartość, jako jednostki twórczej, a zepchnięcie w szary monotony krąg „pań domu” czyni je często karykaturą własnej postaci.

Spółeczeństwo traci w ten sposób wartościowego człowieka, dana instytucja — cenną siłę pracowniczą, a zmniejszony o paręset złotych budżet domowy napewno nie przyczynia się do ożywienia handlu i przemysłu krajowego. Dom także nie zyskuje wiele, gdyż rzadko kiedy kobiety naprawdę zamiłowane i przyzwyczajone do pracy są dobrymi gospodyniami. Nudzi ich ono i starają się zepchnąć z siebie ciężar, wykonywując tylko roboty najkonieczniejsze.

Kobiet, pracujących umysłowo w Polsce, jest już tak wiele, że sprawę ich istnienia i pozostania przy warsztatach pracy z takich lub innych powodów, nawet jeżeli są mężatkami, nie można traktować tak lekko, nie wnikając równocześnie w samą treść zagadnienia.

Zbyt wielką odpowiedzialnością, trudną do zrealizowania, a nawet powiedziałabym — nieziszczalną, jest dążność rozpatrywania przez odnośne władze każdorazowego wypadku, kto z dwojga zatrudnionych małżonków ma pozostać przy pracy. Jest to sprawa zbyt skomplikowana, aby można ją było sprawiedliwie rozwiązać zwykłym zarządzeniem lub okólnikiem.

Niechaj o losie swym decydują same kobiety i ich stosunek do pracy, a nie suche zestawienia cyfrowe. Żadnej bowiem myślącej kobiecie nie trafi dzisiaj do przekonania hasło, że kryzys i bezrobocie zwalczać można redukcją mężatek. Zredukowanie mężatek poderwie bezwzględnie budżety domowe, a w konsekwencji przyczyni się znów do zmniejszenia popytu i obrotów handlowych w kraju.

Twórzmy nowe warsztaty pracy, wychowujmy nowe zwiększone kadry kobiet-specjalistek w różnych zawodach, ale nie zabijajmy młodych pokoleń tą klęską wiszącą nad kobietą zamężną redukcji i bezrobocia.

Niechaj wreszcie kobieta w Polsce poczuje się człowiekiem równym mężczyźnie, który też coś znaczy i którego praca nie idzie na marne. Niechaj kobieta polska z otwartem czołem wstępuje w związki małżeńskie, niechaj nie zmniejsza jej zapалу do pracy myśl, że zostanie od niej oderwana z chwilą zamążpójścia. Niechaj każda kobieta pracująca umysłowo w Polsce poczuje się wreszcie wolnym i równym w prawach człowiekiem.

Marja Szachówna.

# „ANIUTA”

Powstanie nie rozgorzało jeszcze na dobre, gdy do kwatery Langiewicza w Staszowie zgłosiła się młoda, przystojna dziewczyna w ciemnej czmarce, obszytej barankami i w wysokich butach. Spod białej konfederatki spływały ciemnokasztanowe włosy; okrągłą, niezbyt może ładną, ale pociągającą twarz zdobiły czarne oczy, którym nie można się było dość nadziwić. Zameldowano generałowi — przyjął ją natychmiast, ile że ciekaw był poznać tę, o której tak głośno było w kraju przed dwoma laty w pamiętnym okresie manifestacji lubelskich.

Panienska nie przyjechała, jak wiele innych, w odwiedziny, poto, by zobaczyć zwycięskiego wodza spod Bzin, Szydłowca i Pieskowej Skąły. W miarę sił i możliwości przysłużyć się chciała ojczyźnie, nosić broń, bić Moskała, słowem — przystać do powstania i to nie w charakterze żadnej tam sanitariuszki czy markietanki. Żeby i życzenie dziewczyny spełnić i przyzwoitości zadośćuczynić, przydzielono ją w charakterze adjutanta do boku majora Czachowskiego, który, jako mężczyzna już sześćdziesięcioletni, uważany był za nieprzystępnego zarówno obmowom, jak i myślom niegodnym.

Służba przy krzykliwym majorze nie należała do szczególnych przyjemności, to też Anna-Henryka rada była zapewne, że ją w dni kilka później przydzielono do sztabu samego Langiewicza, gdzie już znajdowały się zresztą i inne kobiety.

Początkowo do obowiązków jej należały funkcje tłumacza podczas przesłuchiwań jeńców i czytania przychwyconych depesz, potem zaawansowała na jednego z czterech adjutantów naczelnego wodza.

Towarzyszom broni przypadła do gustu zmiejsca. Rezolutna dziewczyna, powściągliwa w słowach, o wyglądzie budzącym sympatię i szacunek, stała się miłym kamratem, tembardziej, że nie było nikogo prawie, kto by o jej przeszłości patriotycznej nie słyszał. Ceniono w niej to, że choć jako córka generała rosyjskiego, miała niejedną sposobność do najświetniejszego małżeństwa, nad karierę i bezpieczne życie przełożyła trudy obozowe i przeciwności wojny, że z żytomierskich salonów matki generałowej odnalazła drogę do kwatery polskich „rewolucjonistów”.

Ale opowiedzmy wszystko pokolei. Pan Teofil Pustay, choć Węgier z pochodzenia, a przytem karciarz i hulaka zawołany, zdołał przecieżyć w służbie rosyjskiej przepchnąć się przez wszystkie szczeble kariery oficerskiej.

Ponieważ z wysoką rangą łączył dar podobania się, więc panna Marja Kossakowska powierzyła mu bez wahania swoją rękę i dość znaczną sumę posagową. Pieniądże ulokował na szczęście zawczasu w jakiejś wcale przyzwoitej wsi pod Żytomierzem, zanim zdołały rozpląnąć się na hulanki i kawalerskie długie.

W tych właśnie Wierchowiszkach urodziło się troje dzieci, ochrzczonych w cerkwi prawosławnej, zgodnie z ukazem carskim o dzieciach z małżeństw mieszanych.

Z dwóch córek gen. Pustaya, a raczej już Pustowojtowa (jak się nazywał zrusyfikowany Węgier) jedna wyszła w przepisowym czasie za rosyjskiego oficerą, a druga, zwana w domu Aniutą, stała się prawdziwym źródłem utrapień dla matki, której jedyną ambicją po rozstaniu się z mężem było stworzyć najwytworniejszy salon w Żytomierzu.

Wszystko ułożyłoby się zapewne jaknajlepiej, gdyby nie „przykry” zbieg okoliczności, że dziewczyna, po ukończeniu instytutu dla panien szlacheckich w Puławach, postanowiła spędzić wakacje, w pobliskim Lublinie w domu babki, hr. Kossakowskiej.

Był to właśnie rok 1861, okres żywiołowych manifestacji patriotycznych. Pod wpływem p. Pluszczyńskiej, gorącej patriotki, choć żony wyższego urzędnika, „Aniuta” bierze udział w procesjach, śpiewa hymny patriotyczne w kościele, jest jedną z organizatorek przeniesienia statuy Bogarodzicy z Lublina do pobliskiego Grabowca. Napróżno pocziwy gen. Chruszczew ostrzega, że jest to wysoce niestosowne dla córki generała rosyjskiego, jak i dla prawosławnej, napróżno prosi, by wyjechała sobie gdzieindziej, by nie zmuszała go do surowszych zarządzeń.

Podczas następnych manifestacji z okazji rocznicy unji lubelskiej, Anna-Henryka, ubrana po wiejsku, staje na czele defilady pod symbolicznym pomnikiem na Krakowskiem Przedmieściu. Gdy odpowiedni raport doszedł do namiestnika Suchozaneta, ten, odwołany już ze swego stanowiska, w ostatnim dniu urzędowania zaleca wysłać „buntownicę” pod konwojem do Moskwy i osadzić ją w monasterze. Do ostatniej chwili nie wierzył nikt, że Pustowojtówna będzie posłuszna, to też już o czwartej rano zebrał się pod kamienicą pani Kossakowskiej tłum, ciekaw tego, co się stanie. Ale „Aniuta” nie zamierzała stawiać bezcelowego oporu. Gdy ubrana do drogi wyszła na ganek, zrobiło się cicho na całej ulicy, tu i ówdzie obnażyły się głowy, niejedną

pierś wstrząsnęło łkanie. Zdławionym od płaczu głosem powiedziała kilka słów uspokajających, poczem wsiadła do powozu wraz z babką, na pożegnanie tylko rzucając w tłum mokrą od łez chusteczkę, którą rozerwano w strzępy.

Wyjeżdżające obsypano kwiatami i odprowadzono aż do rogatek, wygwizdując dowódcę konwoju. Wyjazd Pustowojtówny stał się dla Lublina okazją do nowej demonstracji narodowej, podobnie zresztą, jak dla wszystkich miejscowości, przez które przejeżdżała.

Tymczasem energiczna pani Kossakowska porusza wszystkie sprężyny, by nie dopuścić do uwięzienia wnuczki wśród czernic.

Już z pierwszego postoju pisze list do nowego namiestnika, hr. Lambert, załączając zaświadczenie lekarskie o rzekomej chorobie płucnej, zagrażającej życiu Anny. Równocześnie odwiedza hr. Lambert delegacja duchowieństwa katolickiego, przekonując, że Pustowojtówna, jako katoliczka (odpowiednie papiery wystawił biskup łucko-żytomierski, za co skazany został potem na zesłanie), nie może być osadzona w monasterze.

Dworny Francuz dał się przebłagać i zgodził się na to, by winowajczyni pozostała w Żytomierzu pod opieką matki. Opieka ta okazała się widać niewystarczająca, skoro skolei kijowski gen.-gubernator zażądał wysłania Pustowojtówny do monasteru.

Zanim ustalono zgodnie, jaki monaster będzie najstosowniejszy, uzyskała pani Pustowojtowa u samej cesarzowej zawieszenie tego wyroku do wiosny spowodu złego stanu zdrowia córki — „suchotnicy, upadającej z dnia na dzień na siłach”. A zanim pierwsze promienie słoneczne rozgrzały grudzień na żytomierskich polach, „Aniuta” była już w Bukareszcie, bezpieczna przed wszystkimi gubernatorami.

Co robiła przez rok, dzielący jej wyjazd z Żytomierza od przystania do partji Langiewicza — niewiadomo, dość, że z radością zamieniła spokojny tryb życia na niewczasy obozowe, dźwięczne imię Aniuty na rubaszne przezwiska „Michałka” i „Pustego Wojska”, a sentymentalne madrygały na swoją cześć komponowane na swawolną piosenkę obozową.

Już wkrótce po przybyciu dowiodła czynami, że w zupełności zasłużyła na zaufanie, jakim ją obdarzono.

Pod Małogoszczą, Chrobrzem i Grochowiskami, przepasana białoamarantową szarfą, odbyła swój chrzest bojowy, roznosząc rozkazy na najniebezpieczniejsze pozycje, a nawet nie-

chętny jej Jeziorański przyznaje, że spisywała się dzielnie.

Gdy pod Grochowskimi załamał się opór polski, zdołała zachęcić kosynierów do śmiałego ataku. Gdy kiedyindziej utraciła w walce konia, przebyła piechotą 18 mil, znosząc trudy wojskowe dzielniej, niż niejeden z męskich uczestników partji. Sława jej czynów dociera do stolicy, gdzie imię Pustowojtówny budzi najwyższy entuzjazm. Jakis odważny fotograf wyprawił się do obozu Langiewicza i sfotografował dyktatora, oraz jego kobiecego adjutanta, dobrze wiedząc, że po powrocie będzie mógł osiągnąć za odbitki niesłychaną wprost cenę: rubla od sztuki.

Tymczasem epopea Langiewiczowska dobiega smutnego kresu. Dyktatura zawróciła w głowie generałowi, który otoczył się ogromnym sztabem, zajął się działalnością polityczną i zrejterował, podobno czasowo, na teren Galicji. W wyprawie towarzyszył mu wierny „Michalek”, o którym mówiono, że dzieli z nim nietylko trudy wojenne, lecz i niewygodne łoże obozowe. Aby dziś dociec, czy tak było w istocie, trzeba by przedrzeć się przez cały gąszcz uprzedzeń i zawiści, rozplątywać zawiłe sieci intryg i dochodzić ukrytych powodów niechęci tego lub owego informatora. Co do nas, wątpimy, by kto miał na miłostki czas i ochotę w chłódzie i głodzie partyzantki, tembardziej, że, jak słusznie pisze na ten temat Berg, rosyjski kronikarz powstania, „słowo kochanek i kochanka nie licowały wcale z ówczesnem otoczeniem i okolicznościami. A jeśli nawet w przelocie schwyciło się całusa, to jeszcze niczego nie dowodzi”.

Austrjaccy urzędnicy celni uwierzyli, że niski, szczupły mężczyzna o jasnej brodzie z towarzyszącym mu gołowąsem, jest to — według przedstawionego paszportu — niejaki pan Waligórski z synem, mający pilne interesy w Krakowie. Niestety, poznani przez kogoś z Polaków, internowani zostali oboje: Langiewicz w jednej z sal wawelskich, a Pustowojtówna w areszcie „pod Telegrafem” na Kaniówce. Ją jednak zwolniono wkrótce, a jego osadzono na Morawach.

Gdy przedsięwzięta próba uwolnienia wodza nie powiodła się, zasmucony adjutant wyjeżdża do Paryża, gdzie poraz pierwszy staje przed nim perspektywa śmierci głodowej. Nie upada jednak na duchu, okazując w walce z życiem tyleż energii i odwagi, ile wprzód w starciach z Moskalami. Zarabia sobie na utrzymanie wyrobem sztucznych kwiatów, które ówczesne Paryżanki zdobyły chętnie suknie i kapelusze, a potem, poczyniwszy już trochę znajomości, udziela lekcji muzyki. O swym udziale w powstaniu mówi niechętnie i niewie-

le. W oblężonym przez Prusaków Paryżu zaciąga się jako siostra miłosierdzia do jednego ze szpitali polowych, by po sromotnym pokoju, ozdobiona krzyżem zasługi, wrócić skromnie i cicho do dawnych zatrudnień. Ma lat trzydzieści trzy i niczego już od życia nie oczekuje, gdy oświadcza się o jej rękę dr. Loewenhardt, emigrant 63 roku, znany jej jeszcze z czasów powstańczej partyzantki. Dziesięć lat pożycia z tym zacnym człowiekiem, mogłoby stać się okresem nieznanego szczęścia, gdyby nie gruźlica,

która (uratowawszy ją niegdyś dwukrotnie od towarzystwa czernic), trapi ją jako nieuchronne następstwo trudów i niewygód, jakich zaznała tak wiele.

5 maja 1881 r. odprowadziła ją na cmentarz Montparnasse gromadka paryskich znajomych, z których nikt nie wiedział nawet może, że wraz z doktorową Loewenhardt grzebie i żytomierską Aniutę i langiewiczowskiego „Michałka”.

*Tadeusz Heller.*

## Wywiad z panią M. Issaakową

Faktem jest, że kobieta terazniejsza dorównała swojemi „wyczynami” mężczyźnie. Za przykład może służyć działalność mieszkanki Za-

nizuje drugą wyprawę do Ameryki Południowej.

Zaintrygowana wiadomością o zamierzonej wyprawie, składam wizytę



*w powrotnej drodze z Parany.....*

wiercia pani Michaliny Issaakowej, znanej przyrodniczki i podróżniczki.

Entuzjastka pod względem kolonii polskich w zamorskich krajach, orga-

pani Isaakowej, aby od niej samej dowiedzieć się szczegółów.

Zastaję ją w progu, uzbrojoną w siatkę, z piękną skórzaną torbą, za-



*Pani Michalina Issaakowa na wycieczce „karosa” w Paranie r. 1927.*

wieszoną przez ramię. Wybiera się na motyle. Idziemy razem. Po drodze nawiązuje rozmowę na temat jej pierwszej wyprawy do Brazylii (rok 1926—28) z której przywiozła bogate zbiory owadów i w ostatnich czasach dała je poznać szerszemu ogółowi, urządzając liczne wystawy w różnych ośrodkach Polski.

Pani Michalina chętnie opowiada o życiu Polaków w Brazylii, słusznie wyraża się, że o ile przysłówiowa gościnność w Polsce zanika, za to na kolonjach innych części świata nic się pod tym względem nie zmieniło. Rodacy za morzem z upragnieniem wyczekują przybyszów ze starej Ojczyzny i z serca płynącą radością witają każdego, kto im drogą wieść osobiście przyniesie z dalekiej ojczyzny.

Przez dwa lata pobytu w Brazylii w Paranie, pani Michalina żyła się z rodakami i przyjaźń tę zacieśniła korespondencją, stale napływającą stamtąd. Obecnie dzielna niewiasta pra-

gnie nawiązać kontakt z inną placówką polską w Brazylii i w tym celu organizuje nową wyprawę na kolonję Orzeł Biały w stanie Espirito Santo.

Kraj ten leży o blisko 1.000 kilome-

tów bliżej równika, niż Parana, jest o wiele gorętszy i niebezpieczniejszy, panuje tam malarja i żółta febra, ale nieustraszona nasza przyrodniczka obiecuje sobie przywieźć stamtąd o wiele bogatszy zbiór owadów i inne wprost zawrotne trofea egzotyczne.

Przestudjowałam już odnośną literaturę — mówi z ożywieniem — i wiem, że stan Espirito Santo obfituje w różne drapieżniki, jak jaguary, pumy, pantery i rysie, oraz mnóstwo innych niedrapieżnych, jak, wydry, o których futra ubiegają się największe eleganki mody światowej. W puszczach tamtejszych rozlegają się głosy malowniczych niebiesko - czerwonych ar, w blasku gorącego słońca śmigają jaskrawo ubarwione kolibry i piękne papugi, a na ścieżkach wylegują się leniwie różne żmije i węże, z których Anakonda o długości 10 mtr., nie należy do rzadkości.

Ożywienie pani Issaakowej potęguje się.

— Zdobycie skóry z tego węża jest szczytem moich marzeń, i bodźcem do oragnizowania tej ryzykownej wyprawy. Jadę sama, jak zwykle — zakończyła swe opowiadanie podróżniczka — gdyż trudnoby mi było uzależniać się od innych osób, gdyby jednak zdecydowała się jechać ze mną kobieta o zdecydowanym charakterze, bardzo chętnie powitałabym przyszłą towarzyszkę dobrych i złych przygód awanturniczej mojej ekspedycji na zwrotniki.

Nastała chwila milczenia, i nie wiem, czy wyczytała coś w mych oczach, bo dodała:

— Z panią bym chętnie pojechała, może się pani wybierze?

Ach! gdyby to nie było na środku łość ruchliwej ulicy (wróciłyśmy już do miasta) zatańczyłabym z nią w tej chwili siarczystego oberka, a tak... trochę inaczej się skończyło.

Teraz tylko o tem myślę skąd wziąć na tę podróż. No... ale jutro kupuję los na loterię, i kto wie?...

P. Frączkowa.



w bananowym sadzie...



Pani Michalina Issaakowa na wycieczce entomologicznej w okolicach Zawiercia.

# William Locke

# Usurpator

Przekład autoryzowany  
Ludwiki Ciechanowieckiej  
Powieść

Skoro usłyszał o powstaniu nowych osad, w głębi kraju, wyruszył w drogę bez jednego pensa w kieszeni, nie mając ani jednego przyjaciela, któryby mu w ciężkich chwilach zechciał podać radę. I oto właśnie podczas tej tragicznej wędrówki spotkał umierającego włóczęgę i dzięki dokumentom, znalezionym w jego kieszeni, przedzierzgnął się w jednej chwili w miliardera.

Gdy się dowiedział o szczęściu, jakie go spotkało, padł na kolana i zaczął wielkim głosem wzywać Boga. Dawno już nie modlił się również żarliwie. Strach przenikał go zimnym dreszczem. Wiedział przecież, że bogactwa ukryte w łonie ziemi, którą zagarnął, powinnyby przejść na własność spadkobierców zmarłego włóczęgi.

Wczesnym rankiem obudził Cudbyego. Wierny towarzysz, dowiedziawszy się prawdy, zaczął go pocieszać i uspakajać, prosząc, by nie zrzucił ze swych ramion ciężaru odpowiedzialności. Pokrzepiony słowami oddanego druha, przestał się wahać.

Niby antyczny król Midas zamieniał wszystko, czego dotknął, w złoto. Szcześnie nabrał cynizmu i stracił wszelkie skrupuły. W wirze zajęć i chaosie olbrzymich przedsięwzięć dnie i miesiące miały w szalonym tempie, niby na skrzydłach tajfunu. Oślepiiony blaskiem złota, sypiącego się nań niekończącą się lawiną, pędził bezsenne noce i tracił apetyt. Ogarniało go stopniowo dziwne ośpienie. Przystał słyszeć głos sumienia...

Wreszcie pewnego dnia uderzył weń piorun z jasnego nieba.

Jadąc z miasta Adelaidy do Brisbane, w towarzystwie Cudby'ego, zatrzymał się na niewielkiej stacyjce. Pociąg miał ruszyć za chwilę, czekał tylko na odjazd innego pociągu, udającego się w przeciwnym kierunku. Jasper przyglądał się wagonom i nagle ujrzał w jednym z przedziałów stojącego w oknie człowieka, którego twarz była mu znajomą. Przyjrzawszy się uważnie, poznał włóczęgę, który w jego obecności dokonał żywota, na australijskim stepie. Nie mogło być mowy o pomyłce. Jasper doskonale pamiętał rysy twarzy umierającego łazika. Ten, który stał w tej chwili naprzeciwko niego, miał również bliznę na policzku.

Jasper odruchowo zerwał się z ławki, lecz zachwiał się i osunął się zemdlony w objęcia Cudby'ego.

Pociągi ruszyły z miejsca.

Wagon, w którym siedział domniemany nieboszczyk, zniknął w mrokach nocy.

Niesamowite spotkanie wywołało na Jasperze wrażenie tak wstrząsające, że przypłacił to długotrwałą chorobą. Gdy wstał z łóżka, był odmienionym człowiekiem. Świadomość, iż władza cudzą fortuną, tłoczyła mu duszę, niby niewidzialny ciężar. Bogactwo stało się dlań przekleństwem. Pełen niedowierzania dla pieniędzy, zaczął szukać prawego ich właściciela, wszelkie jednak wysiłki spełzły na niczem.

W ciągu kilku lat nie szczędził ani trudów, ani złota, na odnalezienie nieuchwytnego włóczęgi. Straciwszy wreszcie nadzieję, zaniechał dalszych poszukiwań. Pozostało dlań jednak zagadką, dlaczego właściciel nie upomina się o swoje prawa do złotodajnych terenów. Przecież nazwisko Vellacot stało się głośnem, na obu półkulach...

\*\*  
\*\*

— Pozwól mi rozmówić się z tym gościem — prosił Cudby. — Dam sobie z nim lepiej radę i zaraz dojdę do porozumienia.

— Porozumienie? — powtórzył Jasper. — Przecież cały majątek jest jego własnością. Nawet moje i twoje garnitury należą do niego.

Przeszedł się nerwowym krokiem po pokoju, poczem zatrzymał się przed Cudby'm z rękami w kieszeniach. Twarz mu poczerwiała i nabrała twardego wyrazu.

— Wprowadź go tutaj. Chcę się rozmówić z nim natychmiast.

— Na miłość boską! — wykrzyknął Cudby. — Zastanów się, człowieku, nad skutkami takiego kroku.

— Nie sprzeciwiaj mi się — odparł Jasper. — Zresztą możesz zostać tutaj, jako świadek.

Cudby wysunął szufladę, wyjął z niej rewolwer i schował go do kieszeni.

— Nigdy nie wiadomo — mruknął.

— Odłóż to w tej chwili — rzekł surowo Jasper, a widząc wahanie, wpadł w pasję i krzyknął: — Do ciężkiej cholery! Rób co ci każe!

Tym razem Cudby spełnił posłusznie rozkaz chlebobdawcy. Jasper stanął przy kominku. Serce jego biło nierówno i gwałtownie.

— Pan Burke — zaanonsował Cudby, wprowadzając oberwańca. Zamknął za nim drzwi i pozostawiwszy gościa na progu, sam podszedł do Jaspera i zajął obok niego pozycję wyczekującą.

W pokoju zawisła cisza.

Jasper przeszył gościa badawczym spojrzeniem, zpod gęstych, nawisłych brwi. Mężczyzna wypuścił czapkę z ręki, ale podniósł ją zaraz i zaczął się przyglądać Jasperowi wodnistymi oczkami. Nie odzywał się wcale. Jasper odniósł przykre wrażenie, że jest przedmiotem skrupulatnych badań. Ktoś usiłował wyczytać z jego twarzy tajemnicę minionej przeszłości. Był teraz pewien, że stoi przed nim człowiek, którego uważał za zmarłego. Temu to człowiekowi zrabował bezcenne dokumenty... Znał tę twarz, gdyż jawiła mu się nieraz we śnie, a raz ukazała mu się za szybą wagonu, na małej australijskiej stacyjnej.

A więc doczekał się dnia, w którym stanął oko w oko z prawowitym właścicielem olbrzymiej fortuny. Niechłujny, wynędzniały łazik jest prawdziwym Jasperem Vellacotem, kuzynem lady Alicji Harden. Jasper spojrzał na jego ręce. Przypomniawszy sobie, że ongiś układał te niezwykle drobne i kształtne ręce na krzyż, na piersiach nieboszczyka. Były wówczas sztywne i nieruchome, teraz zaś żyły i drgały nerwowo.

— No więc — odezwał się Jasper bezdzwicznym głosem — proszę mi powiedzieć, jaki pan ma do mnie interes?

— Mam list polecający od pańskiego agenta z San Francisco. Mówił mi, że pan spewnością mnie poratuje. Jestem zupełnie wykończony...

— Tylko o to panu chodzi?

Mężczyzna machnął bezradnie ręką.

— A no tak. Człowiek znowu chciałby stać się podobnym do ludzi.

W oczach Jaspera pojawił się wyraz zdumienia. Czy być może — myślał — że on mnie sobie nie przypomina? To niemożliwe.

Gość w najmniejszym stopniu nie zdradzał zainteresowania, jakie powinienby w nim budzić dawny znajomy. Niktby się nie domyślał, że poznał Jaspera.

— Z tego, co mi tam mówiono, zrozumiałem, że gdy panu pokażę ten papier, to otrzymam nocleg i zasiłek.

— Ależ, oczywiście — oczywiście — przytaknął ogłupiały Jasper.

Cudby westchnął głęboko i poprawił okulary, zsuwające się z nosa. Po chwili wahania zbliżył się do włóczęgi i odebrał z jego rąk białą kopertę.

— Tak — przemówił tonem urzędowym. — Jest to zaświadczenie, podpisane przez pana Kenly. W porządku. Nazywacie się Burke? Wszak prawda?

— Tak, proszę pana. — Nazywam się Henryk Burke.

— Czy nigdy nie używaliście innych nazwisk?

— Skądże znowu...

— Siadaj pan tutaj, a ja się rozmówię z panem Vellacot — przemówił już życzliwszym, a jowialnym tonem.

Gdy włóczęga zajął miejsce na krześle, Cudby pociągnął Jaspera włąb pokoju.

— Dzięki Bogu — szepnął — pomyliłeś się.

— Nie. To spewnością ten sam człowiek. Zapytaj go, czy ma na lewym przedramieniu wytatowane serce.

Cudby podeszedł do stołu i zaczął przeglądać jakieś papiery.

— Tak. Zgadza się. Musimy jednak mieć dokładny rysopis. Bo to, widzi pan, zdarza się, że się ludziska podają za kogoś innego.

Ani jeden muskuł nie drgnął na twarzy włóczęgi.

— Jeżeli o mnie chodzi, to nazywam się Burke i nikogo nie udaję.

— Pan Kelly wspomina coś w swoim wykazie o pańskim tatuowanym ramieniu.

— Słusznie — odparł Burke — odwijając rękaw powyżej łokcia. — Mam tylko jeden znak, na ręku.

Na przedramieniu włóczęgi błękitniało misternie narysowane serce.

— Niema więc żadnej wątpliwości — wycedził Jasper, a zwracając się do Burkego, zapytał go ostro.

— Czy nigdy mnie nie spotkaliście w Australji?

— Nie przypominam sobie, proszę pana.

— Jakież dziesięć lat temu — ciągnął dalej Jasper — zachorowaliście śmiertelnie, w drodze do Torowoto.

Burke zerwał się na równe nogi.

— Jakim cudem dowiedział się pan o tem? — wykrzyknął.

— Aha! — Niebardzo się to zgadza z historijką, którą opowiadałeś panu Kelly — roześmiał się Cudby. — A skąd wiemy o tem, to już nasza rzecz. Pan Vellacot musi o wszystkim wiedzieć.

— Może utraciliście wtedy pamięć? — zapytał go Jasper.

— Niejedno człowiekowi wyszło z pamięci — odburknął, unikając jego zwroku. — O niejednym nie chce się pamiętać. — Coś mi się popsuło z pamięcią.

— Zapewne podczas tej ciężkiej choroby — zauważył Jasper.

— Pewnie, że tak.

— Niema o co się gniewać — wtrącił się Cudby.

— Czy to w porządku tak wypytywać kogoś o jego przeszłość? Przecież gdybym był prymusem niedzielnej szkółki, tobym dzisiaj nie był tem, czem jestem. Żaden łazik nie wypowiada się wam z całego życia. Pan naprzykład — dodał, mrużąc złośliwie mętne oczka — pan dobrze to powinien rozumieć, bo sam miał ciężkie życie.

— Nie zmuszam was do żadnych wyznań — tłumaczył się Jasper — możecie mówić, co chcecie.

— Ze mną jest tak — rzekł udobruchany włóczęga — zdrowie mam kiepskie, do cięższej pracy jestem już niezdolny, ale chciałbym uczciwie zarobić na życie, jeżeli pan mi pomoże, wdzięczny będę do śmierci.

— Czy macie dobre pismo?

— Owszem, proszę pana. Byłem przez pewien czas urzędnikiem. Człowiek się imał rozmaitych zajęć.

Jasper ogarnął wzrokiem brudne, zniszczone ubranie, drżące ręce i chorobliwą cerę przybysza. Następnie wyjął z kieszeni portfel i wręczył gościovi cztery banknoty.

— Proszę sobie kupić jakiś przyzwoity garnitur. Ja sam potrzebuję urzędnika.

Burke popatrzał na Jaspera wzrokiem pełnym wdzięczności, w którym jednak czaiła się nieufność. Bąknął pod nosem słowa podzięk i wyszedł z pokoju. Cudby podążył w ślad za nim.

— Tylko żebyście nie kupowali żadnych jaskrawych krawatów i zwarjowanych kamizelek.

— I ja potrafię wyglądać po pańsku. Wiem dobrze, jak prawdziwe panowie się ubierają.

Cudby wrócił do biljoteki.

— Czy jeszcze masz wątpliwości? — zagabnął go Jasper.

Cudby'ego uderzyła bladość, rozlana na twarzy Jaspera. Podrapał się w szpakowate włosy i odrzekł:

— Nie: Masz rację. To ten sam człowiek.

— On mnie doskonale zna — odezwał się znowu Jasper.

— Mylisz się. Wcale ciebie nie zna.

— W takim razie prowadzi jakąś podwójną grę.

— A ja jestem przekonany, że on cierpi na zanik pamięci. Choroba i alkohol dobiły go. Jest do niczego. Nie byłby w stanie prowadzić konsekwentnie jakiejś djabelskiej gry.

— Cóż z tego! Mógł stracić pamięć, ale nie utracił swych praw do majątku. Tak, czy owak, będą musiał zwrócić mu to, co jest jego własnością.

— Jakto? Masz zamiar oddać mu wszystko?

— Wszystko, — odburknął Jasper. — W ciągu dziesięciu lat żyłem z kradzionych pieniędzy. Zresztą stało się to, bez mej woli. Dzisiaj jednak muszę zwrócić jego własność.

— A czy masz prawo rozporządzać się nią? — zapytał Cudby.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Tysiące ludzi żyje na twój koszt. Jesteś panem losów wielkiej gromady ludzkiej.

— O Boże! — jęknął Jasper. Zaczynał rozumieć, o co chodziło Cudby'emu.

— Dokonałeś podboju cudzego królestwa, mój drogi królu, bohaterze i przyjacielu. Dźwigasz na swych barkach ciężar odpowiedzialności za losy całego królestwa. Niejeden koronowany władca, mniejszą posiadał władzę od ciebie. Jesteś dzisiaj przykutym do tronu, gdyż od twojej dobrej woli zależy przyszłość tysięcy nieznanych poddanych. Jesteś uzurpatorem, ale, nie masz prawa abdykować dzisiaj na rzecz jakiegoś włóczęgi, choćby miał pełne prawo do tronu, ale, który nie potrafi rządzić i pograży kraj w przepaść nędzy i zamętu. Powtarzam ci, że nie masz prawa tego uczynić. Poświęciłeś siły rządzenemu przez siebie mocarstwu. Mocarstwo nie obejdzie się już bez ciebie.

— O Boże! — zawołał Jasper, i chwycił się oburącz za głowę. Zdawało mu się, że ciężar odpowiedzialności rozerwie mu czaszkę.

## ROZDZIAŁ VIII.

— Powtarzam ci Bon Ami, że masz fiołka w głowie.

— A ja ci powtarzam Vittorio, że jesteś ósmym cudem świata.

Tak mniej więcej brzmiał dialog dwojga zakonanych, gdy Jasper przyglądał się im z ulicy, przez oświetlone drzwi hoteliku Bomboni.

— Jestem przystojna... Może nawet ładna — zgodziła się Vittoria, zerkając w lustro, popstrzone przez muchy. Leniwym ruchem ręki poprawiła grzebień, wpięty w bujne włosy i dodała: — Tak, jestem niebrzydka, ale daleko mi do piękności.

— A ja stwierdzam kategorycznie, że jesteś piękna.

— Za gorąco, na kłótnię. Przypuśćmy że masz rację. Cóż z tego...

— Nic z tego — odparł Bunny. — Wystarcza, że jesteś piękna.

— To znaczy, że mogłabym być głupia jak sowa i złośliwa jak kot. Niecierpię pana, panie Bon Ami.

Wyprostowała się i spojrzała nań zgóry kpiąco, a wyniosłe.

— Powinienem wrócić do domu i przebrać się, na przyjęcie — zauważył Bunny, zmieniając temat rozmowy.

— A dlaczego właściwie pan tutaj siedzi?

— „Ubi bene ibi patria”. To, po łacinie...

— Całe szczęście — że mnie pan o tem uprzedził. Myślałam, że mówi pan po japońsku. Domyślam się jednak, że to znaczy „Ojczyzna moje jest tam, gdzie mi dobrze”. Mojem zdaniem jednak, trzeba być — zawahała się, szukając odpowiedniego określenia — no jakże się nazywa człowiek, który dla dowcipu ogaduje własną matkę?

— Cynik — poddał Bunny.

— Trzeba być cynikiem — żeby mówić coś podobnego. Przecież tylko ten kraj, w którym urodziliśmy się, jest naszą ojczyzną.

— Nie będę się o to sprzeczał. Przetłumaczę łacińskie przysłowie, na własną modłę: „Każde miejsce prezstrzeni, w którym czujemy się dobrze, jest rajem”. Oto dlaczego nie idę, na dzisiejszą zabawę. Zaznaczę również, że gdyby pani była głupia jak sowa i złośliwa jak kot, nie czułbym się dobrze w pani towarzystwie, a hotel Bomboni, nie byłby rajem. Jestem logiczny, piękna Vittorio.

— A ja pana zapewniam Bon Ami, że masz bzika — rzekła Vittoria miękko, przechylając się znowu przez ladę leniwym, łagodnym ruchem. Młody człowiek spojrzał jej w oczy. W ciemnych, głębokich oczach dziewczyny drgała utajona namietność. Były jak otchłań tajemnicza. Chwilami oczy te, o coś prosiły, z czegoś się śmiały, przed czymś się broniły. Długie, jedwabne rzęsy rzucały cień, nadając im wyraz sennosci. Nigdy w życiu Bunny nie widział równie fascynujących oczu.

Młody poeta wszędzie dostrzega przejawy nieśmiertelnego piękna. Czasami widzi jedynie odbicie własnej duszy. W takich razach następuje bolesne zetknięcie poety z rzeczywistością. Goniąc zjawę złotych bram rajskiego ogrodu, poeta uderza wreszcie głową o ścianę z granitu.

Pozatem Vittoria miała pełne, świeże usta i łagodny owal twarzy. Małe jej rączki, o delikatnych różowych dłoniach były chłodne i gładkie.

— Ty musiaś uciec z obrazu Andrea del Sarto — rzekł Bunny — ta czarna suknia jest tylko maskaradowym strojem.

— Andrea del Sarto — powtórzyła Vittoria — Malarz, który nigdy nie popełnił błędu.

— Skąd u licha wiesz o tem? — zawołał zdumiony Bunny.

— Jak to skąd wiem? — odparła, wyprostowując się dumnie.

— Przecież to jest klasyczny epitet, dawany mu przez krytyków. „Lenza Errore”.

— „Accidente”! — wyrwało się obrażonej dziewczynie. — Cóż to! czy tylko ludzie z tak zwanego towarzystwa, mogą się znać na sztuce? Gdyby dystygowana panna zrobiła tę samą uwagę, pewnością nie zapytanoby jej, gdzie się o tem dowiedziało. No, — krzyknęła, tupiąc nogą. — Przecieżby jej pan tak nie potraktował!

— Istotnie — bąknął zażenowany Bunny.

— Ale mnie, Vittorię Antonelli, wolno o to pytać, ponieważ jestem ubogą proletariuszką, pół Angielką i pół Włoszką, a w dodatku kelnerką, w skromnej jadłodajni. Tylko co wyjaśnił mi pan, że przysłowie, którego użyłeś było wypowiedziane, po łacinie. Mam już tego dość. Ktoś inny dziwił się, że czytałam Biblię. Dlaczegoż to nie miałabym czytać Biblii i książek, tak, jak kobiety z waszej sfery.

(D. c. n.).

# „PANI INŻYNIERKA”



Nieraz stawiałam sobie pytanie, czy kobieta współczesna posiada zmysł organizacji pracy? Rozglądałam się wokoło, szukałam życiowych przykładów i uśmiechałam się wreszcie z zadowoleniem. Dyskutowałam przytem w myśli z panią Natalią Jastrzębską, która nazywa kobiecą działalność „zadrep-taną” i obciążoną beznadziejnie „zadawnionymi warunkami bytowania”. Oto co pisze pani Jastrzębska między innymi:

„Kobieta nie osiągnie rezultatów, pomimo, że będzie pracowita, sumien-na, systematyczna, dociekliwa i zacię-ta w pracy. W rezultacie zrobi niewie-le. Przyjdzie natomiast mężczyzna bez tych zalet — weźmie sprawę za czub i rezultat wypadnie wspaniale!”

Właśnie o tych rezultatach chciała-bym dziś napisać. O rezultatach pracy kobiecej, które wypadły wspaniale:

1) w literaturze: Nałkowska, Dą-browska, Gojawiczyńska i Jasnorzew-ska (nagrody);

2) w architekturze: inżynierowie: Miruta Słomska, M. Buckiewiczówna, Ada Juraniec-Jurenicz, H. Kurkiewicz-Morsztynkiewiczowa, A. Stanisławska i Barbara Brukalska (nagrody konkur-su na rozplanowanie dzielnicy im. Mar-szałka Piłsudskiego).

Dwie tylko dziedziny pracy i jakie „rezultaty wspaniałe”.

A teraz przykład skromny kobiety zwykłej, nie stojącej do konkursów, pracującej w zapadłym kącie kreso-wego miasteczka, w ciężkich warun-kach odbudowywania ruin zamku Kle-wańskiego... rękami więźnów!

Jak dotąd kobiety na ruinach, ople-cionych bluszczem, umiały tylko prze-żywać romantyczne spotkania! Różne „Złote Elzunie” i heroiny romansów zamieniały pierwsze pocałunki w basz-tach rozsypujących się w gruzy! Spo-tykały się o północy w rozwalonych murach, gdzie bardzo straszło i la-tały nietoperze! Czasem uciekały od pościgu podziemnymi korytarzami, w których szkielety zastępowały im dro-

gę i rozsypane skarby mieniły się tę-czą blasków w świetle pochodni.

Obecnie... panna Anna Baranowska w Klewaniu wznosi nowe mury na na starych minach — nowe mury „Za-kładu dla Nieletnich Przestępców”. Poza tem.. mieszka w jednej z sal tego zamku i wcale się nie boi upiorów. Przeciwnie gotuje sobie z całym sto-icyzmem obiady na maszynie i słucha radiowych audycji, o ile o 9-ej nie za-sypia już snem sprawiedliwych i spra-cowanych wielce ludzi.

Żeby się dostać do apartamentów „pani Inżynierki” trzeba przejść przez zwodzony most zachwycić się poczer-niałą cegłą starych baszt i romantyką stromych ścian nasypowego urwiska.

O ruinach mowy niema, rozjaśnia je malowniczo i planowo biały tynk dobudowanych części bram, okien i wnętrz.

Wewnątrz oddech współczesności: wodociągi, centralne ogrzewanie, lam-perje i glazury! Słupy mur opadający stromo ku łąkom — będzie miał dach szklany zawodowych warsztatów, pochylony ku wewnętrznej stronie dzie-dzińca. W jednej baszcie będzie ka-plica pod łukowymi sklepieniami. W drugiej na dwa piętra wysoka... sala gimnastyczna.

Cała prawa strona przemieni się w jasne sypialnie i klasy. W piwnicach po-mieszcza się łazienki i karcery lśniące od terrakoty i glazury, uzbrojone w prysznic i dezynfekторы. Kuchnie bę-dą miały lamperje kaflowe. A biblijo-teka... Biblioteka będzie miała w so-bie powagę barwy pompejańskiej uzu-pelnionej czernią parapetów.

Panna Anna Baranowska mieszka w tej części nad bramą. Czy widzicie Ją? Oto uśmiecha się do nas w swym ro-boczym mundurze: serdaka na bara-nach i wysokiej, futrzanej czapie na głowie. Uśmiecha się od 6-ej rano do 6-ej wieczór na zimnie, lub upale, w pyle i pracy. Nie narzeka! Przeciwnie! Niechby Jej tylko kto zaproponował zmianę pracy, jakąś budowę w stoli-cy — oparłaby się! Nie pojedzie! Nie porzuci swego Klewania!

Kobiety mają w sobie zmysł spo-teczny. P. Baranowska kocha swoich więźniów, którzy otoczyli ją właśnie w swych szarych, przepisowych płaszczech. Nie są to typy Łebedy, Kar-pyńca, Kłynyszyna i innych członków „Organizacji Ukraińskich Nacjonalis-tów”. Nie. I nie są to również zbrod-niarze. Jasne mają, zarośnięte twa-rze i niebieskie, dziecinne spojrzenia.

Za co dostali się do więzienia?

Za takie tam małe, powszednie

\*) P. Baranowską tak tytułują więźniowie-robotnicy.

grzechy wiejskich ludzi, Ten siedzi za pędzenie gorzałki. Tamten za mordo-bicie. Ów za kradzież polci słoniny.

Zawinili i odsiedzą bez szemrania karę, słuchając rozkazów pani „pani Inżynierki”, która się interesuje ich życiową historją, ludzi w nich uznaje, rękę na pożegnanie podaje i każe co sobotę zarobione „hrosze” wypłacać.

— „Nie boi się pani współpracy z tymi ludźmi o złych instynktach?”

— „A czyż oni są źli?” ujmuje się za nimi pani Inżynierka. „Raczej są nieświadomieni etycznie. Jak tylko przychodzą tu do mnie, muszą się przedewszystkiem wywnętrzyć. Mają swoje własne poczucie honoru i wra-żliwi są bardzo na dobre traktowanie. Ten co pędził gorzałkę, jest wesoły i zadowolony z siebie. Postawił za go-rzelane pieniądze stodołę i uważa, że mu się... „opłaciło” odsiedzieć i odpra-cować to swoje „dobro”. Tamten zbił rywala i jak bohater wróci do wioski. Panna go przyjmie z uznaniem! Tylko „fałszerz od monet” jest rozgoryczo-ny, bo czuje się czemś wyższem nad tłum analfabetów”.

Pani Inżynierka nie boi się tych lu-dzi w szarych, więziennych płaszczech. Są przecież jej przyjaciółmi, którzy umieją ocenić dozór bez bata i krzy-ku, dozór życzliwej zwierchniczki! Burżujka? Nie! pani Inżynierka, to człowiek pracy, jak oni!

— „Astańcieś zdrowy!” mówią do niej na pożegnanie, odchodząc do swych wsi pogranicznych. Do swych wsi tak blizkich Bolszewji. W chacie opowiedzą ludziom, jaka to jest ta pa-ni Polka...

Ma to swoje wielkie znaczenie. Wielkie znaczenie podczas sprawy Małucy, Czornija, Myhała i Pidhaj-nego!

Wokoło pola, lasy, błota i melan-cholja.

W zamczysku Klewańskiem młode życie zamknięte wśród starych mu-



rów i odcięte od kulturalnego świata (do stacji kolejowej 3 kilometry, do Łucka 1½ godziny jazdy rozstrzęsionym autobusem).

Wzajemian pierwsza praktyka pod światłem kierownictwem architekta Wł. Stachonia (który dojeżdża raz na tydzień do Klewania), pierwsza praca niezwykle ciekawa pod względem architektonicznym i społecznym!

Rekompensata z punktu widzenia p. Baranowskiej, całkowita i kompletna!

— „Pani Inżynierko... jak zgąć tę sztabę?”

— „Pani Inżynierko... czy raz malować te ściany, czy dwa razy?”

— „Pani Inżynierko, kiedy będziemy budować nowy strop żelazo-betonowy?”

Patrzę zdziwiona. Jakto? Czyżby takie skomplikowane prace umiały wykonywać ręce... szewców i rolników?

— „Ależ tak!”, rozpromienia się twarz młodej Architektki. „Ależ tak! Wprawdzie nie lubią się oni przepracowywać, ale objaśnieni dokładnie przez fachowca i przezemnie o swojej powinności, wbici w ambicję — umieją betonem zalać 150 metrów sklepienia tak niezwykle dobrze i równo, że po zdjęciu szalowania, nie było ani skazy, ani najmniejszej dziurki! Z te-

go stropu zadowolony był p. arch. Stachon i ja. I zadowoleni niezmiennie i dumni byli... oni! Więc teraz dopytują się o nowy, podobny i palą się do roboty, tembardziej, że... dostali odemnie w nagrodę... machorki!”

Proszę spojrzeć na plan. Ta baszta z lewej strony posiada właśnie to sławne sklepienie!

To sklepienie niezwykle! Zaprzeczające „zadreptanej” kobiecej działalności!” To sklepienie, świadczące wymownie i niezbiacie, że... kobieta współczesna, wbrew wszelkim oskarżeniom... posiada zmysł organizacji pracy!

Janina Surynowa Wyczółkowska.

## GAŁĄZKA JEMIOŁY

N o w e l a

Jane pochyliła głowę. Cień przykrości przemknął po jej twarzy. Chciała coś odpowiedzieć, ale zawałała się i rozmyśliła. Ukłoniwszy się uprzejmie, szybko wyszła z pokoju.

Marjana wzięła ze stolika lusterko i badawczo wpatrzyła się w jego taflę. Spojrzały na nią oczy sułtanki mroczne, posępne, gorące i olbrzymie, wśród cienkich rysów drobnej twarzy. To była ona, Marjana. Jej twarz, i jej ciało o blad złotym tonie skóry, tak cienkiej, że przez nią, jak przez bursztyn, przeglądały delikatne wiązania misternego szkieletu. Tak, to była ona. Droгоценna kruża, woniejąca ambra, teraz nadkruszona i popękana. Doskonała piękność, smukła waza etruska, zniszczona przez okrucieństwo ślepego losu. To była ona.

A obok niej żyła Jane. Bezpretenjonalny, gliniany dzban, dzwięczący i mocny. Dzban pełen wesołych, polnych kwiatów. Była Jane młoda, radosna i ona musiała patrzeć na nią i znosić to, że Michał oddaje dziewczynie cząsteczkę siebie. Że ją lubi i współczuje jej osamotnieniu.

Marjana wybuchnęła śmiechem, przechodzącym w łkanie. Płakała, szlochając głośno, jak małe dziecko. Płakała nad swoim osamotnieniem, swoją niedolą i nad tem także, że zapomnieli o niej, że nikt nie pomyślał o jej śniadaniu, że cieszą się i przygotowują do wycieczki, podczas, gdy ona leży sama i opuszczona.

Szybkie kroki zbliżyły się do drzwi. Odwróciła się prędko i udała, że śpi. Klamka skrzypnęła:

Cyt. — zabrzmiał szept Michała. — Marjana śpi. Nie budźmy jej. Niech odpoczywa. A my śpieszmy się. Niech pani spojrzę co za śniegi! Chodźmy, Jane! — Cicho zamknęły się drzwi i przebrzmiały śpieszne

kroki, odbiegające w zaczarowany kraj ruchu i młodości.

— Nie odchodź, Myszko, nie odchodź! — jęczy w poduszkę Marjana.

— Nie chcę, nie mogę rozstawać się z tobą! Nie wolno tracić czasu! Ty tego nie rozumiesz, że każda chwila jest droga. Ja muszę mieć ciebie wciąż przy sobie! Ty podsvcasz płomień mego życia. Twoja siła mię trzyma, twoje zdrowie mię żywi. Boję się, gdy mię opuszczasz. Boję się chorować! Boję się umierać! Boję się być sama...

Z twarzą zalaną łzami, Marjana zerwała się, siadła na posłaniu i łamiąc cienkie palce, krzyknęła dziko:

— Nie odchodź! Myszko, nie odchodź!

\*\*

I oto Marjana była sama. Przetrwiała już wszystkie etapy udręczenia i tęsknoty, wszystkie paroksyzmy bojaźni i niepokoju w dzwoniącej pustce mieszkania. Uspokoila się wreszcie. Spłakana i znużona, po zażyciu nieskończonej ilości lekarstw, ułożyła się na szerokim tapczanie, wgarnięta w tęczowy stos poduszek, patrząc w wielkie okno. Czarno-złota piżama, haftowana w egzotyczne ptaki, otuliła miłośnię jej ciało. Na nogach miała indyjskie mokasyny, szyte w prymitywne wzory. Ciężkie, czarne włosy, połyskiwały, jak atlas na jej małej głowie. Białymi palcami, obciążonymi nadmiarem pierścionków, pieściła machinalnie gładki jedwab poduszek, patrząc żalosnem oczami w białą dal ulicy. Za oknem, cicho i uroczyście, odprowadzało się święto zimy. Chłodne święto puszystego śniegu. Przez mroźną zasłonę przedzierały się szybkie sylwety, przechodzących ludzi. Szli śpiesznie, biegnąc prawie. W ich ruchach wy-

czuwało się radosny nastrój, jaki płывa w pospolitość wielkomiejskiego życia, wraz ze śniegiem. Z tym białym gościem, niosącym wieść o dalekiej, północnej zimie, pełnej surowego piękna.

W śnieżnej mgłę znaczyła się długa perspektywa elektrycznych księżyców, wcześniej zapalonych, rozjaśniających bladą i szarą jasność zimowego przedwieczera. Ich widok, tylokrotnie oglądany, zawsze jednakowo cza.ował Marjanę. Tysiące wspomnień, jak kolorowe szkiełka w starodawnej lampie Aladyna, jawiło się, by zniknąć za chwilę.

Dawne miłości, zgasłe uczucia, najprzenikliwsze piękno doznań, majaczące twarze. Te same twarze, o których wiedziało się nieomylnie, że się je zapamięta na wieczność — dziś zapomniane i nieme. Te oczy, których najsekretniejszy wyraz poznało się w godzinie upoju, te usta pod pieczęcią których przysięgało się wieczną miłość — dziś obojętne i obce. Wspomnienia młodości.

Nieznacznym ruchem palców strąca Marjana z siebie ich kolorowy pył. Przywołuje inne. Świeże, porywające, jedynie ważne.

Michał. Pierwszy raz dostrzeżona uroda jego twarzy w zadymionej sali, jakiejś podrzędnej kawiarni, gdzie Marjana znalazła się przypadkowo. Nagłe olśnienie na widok chmurnych i groźnych oczu, dalekich, jak granatowe, nocne niebo, a które przeznaczone były do promiennej pogody wiecznego uśmiechu. Usta, stworzone do dawania najsubtelniejszej rozkoszy, krzywił zły, pogardliwy wyraz. Dlaczego? Nędzne, wiatrem podszyte palto na torsie Apollina, długie palce, popuchnięte od odmrożenia, nędza widoczna w wyglądzie młodzieńca, szarpnęła sercem

Marjany. Jej wrażliwość estetyki zgrogę przejął bolesny kontrast między ubóstwem odzienia a pięknnością królewskiej postaci.

Wizja tej postaci z kawiarni przesładowała ją dnie i noce. Czuła, że koło jej życia zazębiło się o tego człowieka, który stanie słupem granicznym między „wczoraj” i „jutro”.

Przez długie tygodnie nie przestawała myśleć o nim, aż wreszcie zetknął ich los, a raczej jej usilne i precyzyjne starania, delikatną pajęczyną wywiadu oplatające nieznanego. I oto Michał Razdolin, syn rosyjskiego magnata emigranta, wychowany w Anglii, a ostatnio przywierający głodem na bruku obcej stolicy, stał się tem, do czego przeznaczyła go Marjana: bożyszczem i niewolnikiem.

Miłość i pieszczoty doświadczonej kobiety opłoty go, jak lłany. Słano mu pod nogi wygody, beztroskę i najcenniejszą perłę bogactwa: pełną kosztownej prostoty estetykę powszedniego dnia. Tonął w dosycie, otulony był przewidującą pieczołowitością żony, jak drogocenną zasłoną, dzielącą od głodu, nędzy i od życia.

Jakim był Michał? Marjana wiedziała, że był łagodny, dobroduszy i pogodny. Wiedziała także, i to było najważniejsze, jakiego porwającego miała w nim kochanka, gotowego zawsze odpowiedzieć na płomienisty zew jej pragnienia. Gdy mdlała w jego stalowych ramionach, Michał uśmiechał się i całował dalej. Swoją pierwotną siłą miłosną był w stanie sprostać wszystkim wyrafinowanym zachciankom zmysłowości Marjany. Wszystkie ostrza jej przewrażliwionej natury: nagłe śmiechy, płacze, żywiołowe wybuchy gniewu, rozplywały się w niezmaczonej, cierpliwej pogodzie jego usposobienia. Był cichy i spokojny, jak wielki step w słoneczne dnie, nie pamiętający o dzikich wicherach, szarpających go czasem burzy. Marjana zaś nie wiedziała dotąd o istnieniu burz i tak żyli bezgranicznie szczęśliwi. Czwż może ta bezwzględna szczęśliwość była raczej udziałem Marjany, odnajdującej w kochanku wszystko, czego napróżno szukała przez tyle lat?

Aż przyszedł ów fatalny dzień, kiedy dowiedziała się prawdy o swoim ukrywanym cierpieniu. Od tego dnia życie ukazało jej nowe, nieznane oblicze.

Będąc niesłuchanie nerwową, nie umiała się dostatecznie maskować i opanowywać odruchów, spowodowanych bólem. I stało się tak, że w miarę rozwoju choroby następowała dziwna, trudna do ujęcia, zmiana w Michale. Był równie czuły, jak dawniej, ale nierzaz wpatrywał się w nią podejrzliwie. Często ruchem ostrożnym i badawczym kładł swoje piękne,

duże ręce na jej łono, jakby instynktownie przeczuwając w niem rozkład i śmierć.

Jego namiętność nabrała cech pasji i dzikości. Kryła się w niej niecierpliwość, lęk, ponura mściwość i okrucieństwo. Czy czuł, że jest oszukiwanym? Że rubinowa krew kochanki, słodkie wino miłosne, zmienia się dzień za dniem w zepsutą cieć, trującą skażone jej ciało? Zdarzało się, że w jego oczach, tak dawniej pogodnych, Marjana dostrzegała znużenie i nudę. A może przyjsć taki dzień, że wyczyta w nich — odrazę. Ach, tego właśnie bała się panicznie! To był cień raniący ją boleśnie.

Leżąc w samotnej ciszy wysilała swój mózg, by znaleźć ratunek, by zachować miłość i żądę męża. Nie różniała tych dwóch pojęć. Nie znała i nie rozumiała innej miłości, niż krzyk głodnych zmysłów, niż tęsknota ciała za ciałem. To co stanowi nieśmiertelną treść miłości, co zwycięsko wykracza poza ciało i jego sprawy, to co z ciał ludzkich czyni narzędzia wieczności, łącząc je w ognia nierozrwalnego łańcucha życia i śmierci, było jej nieznanem.

W miłości szukała zawsze siebie. W pożądaniu kochanka przeglądała się, jak w zwierciadle, podziwiając kuszącą swą potęgę. Jej rozkosz była prawem. On i jego rozkosz byli jej własnością, którą się lubowała skrycie, jak skąpiec swoim skarbem. Syciła się swem ciałem, aż gdy przyszedł czas, że ono odmówiło posłuszeństwa, Marjana straciła grunt pod nogami, zabłąkawszy się w labiryncie, z którego nie było wyjścia. Po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że Michał może nie czuć się tak szczęśliwym, jak ona. Że jest młody, zdrowy i że atmosfera ukrywanej choroby może go przynębić. Że potrzebuje ruchu, rozrywki. Że jej namiętność może mu nie wystarczać.

Czepiła się myśli o sporcie. Gorączkowo przekonywała siebie, że chcąc zachować Michała — kochanka, musi robić ustępstwa na rzecz Michała — młodego, wysportowanego chłopca.

— Będiesz miał wszystko co zechcesz! Będiesz sobie chodził na narty, ile razy ci się podoba... chociażby nawet z Jane — szeptała pieszczotliwie.

— Tylko mię kochaj, kochaj... Myszka! — To ustępstwo na rzecz Jane nie było tak trudnem. Marjana wiedziała doskonale, że w stosunku męża do młodej dziewczyny nie było erotyzmu. Poprostu dobrotliwe współczucie dla cudzoziemki i sympatja dla dzielnego stworzenia, przedzierającego się odważnie przez życie. Odgrywało tu także rolę wielkie przywiązanie do Anglii, którą Michał nazywał swoją drugą ojczyzną.

Zdecydowawszy się w sercu na taką ofiarę, Marjana poczuła się spokojniejsza. Poprawiła się na swoim barwnem posłaniu i wyciągnęła się wygodnie. Oczy jej, błędząc po pokoju, zatrzymały się wreszcie na małych mokasynach, obuwających jej stopy, pracowicie wyszywanych i zdobionych rękami jakiejs nieznannej, brunatnej i gibkiej „Squaw”. Wyszywane były zwinnymi palcami, w takt monotonnej, żałosnej melodji, nuconej grubemi wargami indyjskiej dziewczyny. Wyszywane były w bezkresne godziny długiej nocy polarnej, w zadymionej chacie, w jełkim zaduchu tłuszczu i ryb.

Niosły wieść o nieznanem życiu pierwotnych ludzi, żyjących za burzliwym oceanem, w zagubionych na krańcu świata, ubogich chatach. Życie tam jest tak twarde i surowe, że w jego lodowatych palcach, natura ludzka przemienia się na nieugięty śpiż.

Wobec tamtych prostych i pierwotnych prawd, czym są tchórzliwe i zakłamanie „prawdy” cywilizowanego świata?

Zdrowy instynkt natury każe ludziom „stamtąd” usuwać z gromady tych, co są nieudolni i skazani. Czy byłoby do pomyslenia istnienie Marjany wśród nich? Czy byłoby do pomyslenia, by ona, chora i nędzna, więziła przy sobie takiego wspaniałego mężczyznę, jak Michał? By zabierała mu jego młodość i życiodajną siłę, trwonioną napróżno dla łona wątlej, bezpłodnej kobiety? Kimże była, by tak drapieżnie i dziko domagać się szczęścia dla siebie? By tak chciwie rwać owoce życia?

Cywilizacja, prawo rządzące światem, którego osią jest pieniądz, dało jej władzę nad mężczyzną. A coby się z nią stało tam, na dalekiej północy, u krzepnącego w zimnie starego serca ziemi?

Marjana wpatrywała się pilnie we wzory, kolorowemi paciorkami i skórą, kreślące obrazy nieznanego życia, rządzonego nieznaniem, innemi prawami. Głęboka zaduma osnuła jej czoło i nieznany gość, miłosna pokora, zrodziła się w chorem sercu. Pierwszy raz zwątpiła o swem prawie własności w tej órze, gdzie bierze udział dwoje ludzi. Pierwszy raz zamysliła się nad sprawiedliwością jej prawa niepopartego wzajemnem oddaniem siebie całej na własność ukochanemu, a żądającej wciąż i niewolać człowieka.

Odważnie zadała sobie te groźne pytania, lecz w sercu jej nie było buntu.

Głośny, dwukrotny dzwonek zmał ciszę mieszkania. To Michał! To oni! chrzęst otwieranego zatrzasku. Tupot nóg. Stuk nart. Donośne, wesole głosy.

We drzwiach stanął Michał, ośniewony cały, z ogniem w oczach. W podniesionej ręce trzymał brązowo-zieloną, dziwacznie powyłamowaną gałązkę jemioły. Białe kulki, jak woskowe perły, osypały kruche łodyżki.

— Popatrz, Marjano! —

Za Michałem stała Jane, z płonącymi policzkami i rozburzonymi włosami, wysuwającymi się z pod białej czapki. W ramionach trzymała czteroletnią Irkę, ukochaną siostrzeniczkę Marjany, która, jak codzień, przyszła odwiedzić „czarną ciocię”.

Irka otoczyła rączką szyję Jane i w łamanej, polsko-angielskiej gwarze coś jej opowiadała. Dziewczyzna, zrozumiała widocznie, bo roześmiała się wszystkimi zębami i ucałowała paluszki maleńkiej.

„Kochana, kochana Jane” — szczeniobocze Irka i nagle skręcając się gwałtownie, chwyta głowę Michała i przyciąga ją do swojej twarzyczki i do twarzy Jane.

— I Myszka też kochany — woła i obejmuje rączkami dwie splecione głowy, przytulając je do siebie.

— Irko, chodź zaraz do cioci! —

Czy to Marjana krzyknęła tak dziko? Irka spuściła rączki i okrągliem oczyma wpatrzyła się w obcą i zmie-

nioną twarz tej, która zawsze była „słodką, czarną ciocią”.

Jane delikatnie postawiła dziecko na ziemi i cichutko wysunęła się z pokoju. Michał, udając, że nie zauważył wybuchu Marjany, pogwizdując poszedł do ubieralni.

— Iruś, chodź do cioci —

Ależ tak. To przecież kochana „czarna ciocią”, uśmiechnięta, jak zawsze. Tylko białe ręce, wyciągnięte do Irki, drżą trochę. Dziecko, uspokojone zupełnie, wdrapało się na tapczan i rozpoczęło gawędę. Jak okrągłe kulki toczyły się z czerwonych usteczek naiwne pytania, na które Marjana odpowiadała cierpliwie i wy-czerpująco. Jednocześnie gorączkowo tuliła dziecko do niespokojnie bijącego serca.

— Pocałuj ciocię Iruchno. O tak. Tak. Mocniej, jeszcze mocniej! —

Mała sumiennie spełniała polecenie, a Marjana całą swoją istotą wtapiała się w to dziwne i rozkoszne poczucie bezpieczeństwa, jakim napełniała ją zawsze obecność dziecka.

Gdy Michał wszedł, przebrany, Marjana przywołała go skinieniem głowy. Wydał jej się zły i nachmurzony. Jedną ręką obejmując dzie-

ko, drugą chwyciła dłoń męża i przytuliła ją do ust.

Michał szarpnął się.

— Co ty? Marjano! —

Siadł przy niej i pocałował kark, wychylający się z kołnierza piżamy.

W tej chwili weszła piastunka, by zabrać Irkę.

— Musimy iść do domu. Już wieczór. —

Marjana z trudem oderwała się od malej. Obsypywała pocałunkami tłuste rączki, okrągłe policzki i aksamitną szyję dziewczynki.

— Dovidzenia, Iruś! Przyjdź znowu jutro do cioci. Dobranoc, Kwiatku! —

— Nie rozumiem czemu tak się spóźniają z obiadem. Jestem wściekle głodny. —

Powiedział Michał i rozciągnął się na tapczanie, z głową na kolanach Marjany. Po paru chwilach zasnął. Jego duże, silne ciało nawet we śnie zachowywało zwykłą prężność. Sen jego przypominał drzemkę tygrysa, którego zmorzyła senność w bezpiecznym sercu dżngli, ale którego stalowe mięśnie nawet we śnie zachowują czujną gotowość do skoku.

Janina Chamiec.

d. c. n.

# Rozmowy literackie

Znowu powszedni dzień

Umilkł już dawno gwar świąteczny, gorączkowe wybieranie podarków, gorączkowe czytanie książek, gorączkowe normowanie życia „od nowego roku”! Przekonałyśmy się, że w końcu wszystko jest tak, jak dawniej: dobre postanowienia do połowy tylko zostały spełnione — reszta poczeka do przyszłego nowego roku.

A więc jak dawniej, zbierzmy się wszystkie, na naszą pierwszą, poświęconą rozmowę literacką. Nastąpiła w nich mała przerwa, nie z naszej winy, ale oto jesteśmy znowu w komplecie, a nawet jest kilka nowych pań. Bardzo nam miło!

Nie, nie będziemy dzisiaj wyciągały dużo książek. Za to te, które wybierzemy, rozpatrzmy porządnie. Więc najpierw pomówimy o książce Bogusze-wskiej i Kornackiego p. t. Wisła.

Bogusze-wska i Kornacki — spółka ze wszechmiar szanowna, pochodzi z zespółu, zwanego „Przedmieście” i intensywnie zajmuje się życiem proletariatu. Napisała już książkę p. t. Jadą wozy z cegłą — z życia mieszkanców podmiejskich osiedli, a ostatnią jej pracą jest właśnie „Wisła” — historia

życia flisaków. Tylko proszę uważać dobrze, nie historią z życia, tylko historią życia. Bardzo to jest ważne, bo tego, co nazywamy w powieści anegdotą, ani jedna, ani druga książka Bogusze-wskiej i Kornackiego nie posiada.

Zadnej Numy, wychodzącej za Pompiljusza, i panoszącej się od pierwszej do ostatniej stronicy książki, żadnych wymyślonych faktów i nieprawdziwych tragedii. Zarówno „Jadą wozy z cegłą”, jak i „Wisła”, są fotografiami z życia pewnych sfer ubogiej ludności. Poznajemy w ten sposób wykrawki z ich życia, ułożone po kolei w chronologicznym porządku. Jeżeli następuje luka autorowie nie martwią się tem bynajmniej, idą dalej, a czytelnik może się domyslać, co mu się podoba. Te luki, czy dziury w akcji i płatanina losów różnych osób — to słaba strona książki. Dobrą jej stroną zaś jest doskonała znajomość życia wiślanych ludzi i samej Wisły, która w książce Bogusze-wskiej i Kornackiego żyje swoim własnym życiem i wywiera na czytelniku swój nieopisany czar.

Drugą atrakcyjną książką, którą na pewno wszystkie panie przyjmą, z du-

żem zaciekawieniem, to Poli Gojawi-czyńskiej Rozmowy z milczeniem. Jest to zbiór feljetonów laureatki Warszawy, feljetonów, drukowanych w swoim czasie w Gazecie Polskiej. Gojawi-czyńska pisze w nich przeważnie o sobie, o swoich bardzo skomplikowanych wewnętrznych przeżyciach. Świat widziany przez pryzmat tajemniczych rozmyślań ma zupełnie nowe i ciekawe oblicze. O tem obliczu pisze właśnie Pola Gojawiczyńska.

Na zakończenie książka dziwna J. Gorzyckiej: Krysia i karabin. Dziwna, to nie znaczy, że dobra. Dla starszych, za naiwna — dla dzieci za poważna. Historia dziewczynki, która „pentała” się przy „Strzelcu” w Krakowie, miała (spoczątku oczywiście), lat 13, bawiła się lalkami i rozumowała, jak 8-10 letnie dziecko.

Same losy Strzelca i potem Legjonów są ciekawe i wzruszające — dobrze by było o tem napisać dobrą powieść. W książce Gorzyckiej wszystko psuje owa Krysia, która jest dziwnie irytująca swoją nieprawdziwością.

Styl i język — znośne!

Zofja Misze-wska.

Lida Durdikowa: Dzieci o wygasyłych oczach. Tłumaczyła Alina Lan. Ilustrował S. Sarkan. Nakładem „Naszej Księgarni” Związku Nauczycielstwa Polskiego, 1935. Str. 67. Cena zł. 4.20.

Prześliczna, przesubtelna książka. Jedna z tych, które chciałoby się mieć na własność, aby powracać do niej znowu i znowu. W godziny zwątpienia w piękno życia. Piękno? Przecie temat tak smutny.. Najsmutniejszy chyba, jaki może być: niewidome dzieci. Tak. Ale widziane poprzez rozpalone do czerwieni serce — wygasłe oczy zaczynają się uśmiechać. Uśmiechy niewidomych dzieci ulatują ku nam z kart tej książki. Dlatego jest piękna.

Opowiadanie o sześciu niewidomych chłopcach i ich młodziutkiej opiekunce jest napisane zarówno dla

dzieci, jak młodzieży i dorosłych. Niema w niem dydaktyki. Jest tylko uczucie i poezja.

Treść dziwnie oderwana od rzeczywistości, od realnego życia, od określonego środowiska, niejako zawieszona w miejscu i czasie. Postacie skreślone jakby mimochodem, w barwach pastelowych, o zatartych konturach. Właściwym bohaterem książki jest — serce.

Dobrze się stało, że naszej niebogatej literaturze dla młodzieży przybył ten utwór: trzeba czasem przedstawić zwrotnicę z toru dynamiki i realizmu na tor uczucia.

Piękny przekład z czeskiego p. Aliny Lan podnosi wartość wydawnictwa, nadającego się wybornie do adaptacji w każdym języku.

Zofja Bolesławska.

## NA MARGINESIE ŻYCIA

### „Książka do poduszki”

Pragnęłabym dziś zapytać moje miłe i uprzejmie czytelniczki, które z pośród książek, najbardziej lubianych, wybrałyby na książki do poduszki?

Książka do poduszki, to ta, po którą sięgamy, gdy wszystkie inne, odsuwamy w zniechęceniu, do której pragniemy zajrzeć właśnie wtedy, gdy sił brak, by wogóle czytać. — Zdaje mi się, iż książka do poduszki nie powinna zawierać długich opowiadań... Byłe strona, byłe rozdział, winien nieść zaczarowane lekarstwo i ukojenie, któreby chłoneła dusza chora... Wiemy niestety, że w życiu każdego z nas, kiedyś, dusza choruje...

Książka do poduszki jest tą, która zdoła odwrócić oczy, przykute do przepaści niepokoju i rozpacz.

To ona pozwoli odnaleźć uśmiech. Człowiek suchy, dzięki niej, zajrzy do tajemniczego świata marzeń, dzięki niej dowie się, że można śnić na jawie.

Książka do poduszki mogłaby zawierać kartki... białe, symbol potrzeby godzin samotności. Symbol tych różnych tajemnic, zawartych w człowieku, które rozwiązać może jedynie sam na sam ze sobą. Wskaże ona człowiekowi drogę do wielkości, która zawsze może być jego udziałem. Otworzy mu też oczy na bezmierną jego nicość. Kochać, myśleć, zastanawiać się, odnajdywać na każdym kroku prawdy, tajemnice, pozwalające czerpać radość życia z samego trwania, oto czego winna uczyć książka do poduszki.

Powinna być pomocą w prostowaniu pozornie małych załamań życia codziennego.

Książka do poduszki, musi być źródłem wielkiej szczerości; z pomiędzy

lawiny książek, które mijają, światło jej iskierkami swemi dosięgnie nas zdaleka. Nie bawić, ale wypełnić pustkę. Powinna odpowiedzieć na wołania, jeszcze niesformułowane, a błakające się po zakątkach duszy.

Współczuciem być winna.. wyrazić to najlepsze, którego się nie domyślamy, o którym nie wiemy, że nas na nie stać...

Odsłonić nam winna naszą tajemnicę, nasze pragnienia, których nie znamy.

Powinna człowiekowi odsłonić źródła miłości, których nie podejrzewa, a które zawsze go dławia, gdy są w nim zamknięte.

Książka do poduszki nie jest pisana dla elity tylko. Jeśli czasem treść jej będzie niezrozumiałą, pogodzić się z tem należy. Przyjdzie dzień, w którym zdania, rozdział, który się wydawał ciemnym, stanie się jasnym, zrozumiałym.

Książka taka powinna być przyjaciółką wszystkich. Towarzyszką wesołych, czy ponurych dni i pór roku. Nie pisze się specjalnych książek do poduszki, różni różne za takowe uważają... Czy zechce mi je kto wskazać?

Stefanja Jankowska.

### Istytut reduty dla dzieci

„Cud na Powiślu” B. Peptowskiego. Inscenizacja i reżyserja Marji Dułęba. Muzyka Łapienisa, kukiełki i dekoracja Wawrzkowiczówny.

Prostota, będąca oryginalnością „dorosłej” Reduty, — i temu przedstawieniu dla dzieci nadała specjal-

ny charakter. Bez sceny, kurtyny i efektownych dekoracji pokazano fragment z życia rodziny rzemieślniczej. Wszystko takie zwyczajne! „Prawdziwe” dzieci (z maleńką Hanecką na czele) stroją prawdziwą choinkę, dzielą się opłatkiem i jedzą wcale nie „na niby”. Gdyby nie to, że wszyscy cały czas mówią ładnym wierszem, zapomnieliby się, że to teatr... A tego chyba pragnęło Kierownictwo. Tej bezpośredniości, łączącej scenę z widzem, pozwalającej mu widzieć własne życie w grze artystów. Zaniepokojona pewnym brakiem atrakcyjności pierwszego aktu, pilnie obserwowałam zgromadzone dzieci. Były zadowolone. Uśmiechały się i pod koniec widowiska, gdy po dowcipnych kukiełkach kolędników — ukazał się fragment szopki, ślicz-na wizja Marii.

Ujęta wdziękiem świątecznego obrazka, słucham kolend i myślę, że trud reżyserski nie poszedł na marne. W epoce radia, kina i tylu chaotycznych wzruszeń — dobrze jest odczuć urok szczerego liryzmu, odpocząć w podniosłej atmosferze serdeczności.

Al. Kwiecińska.

### Z teatrów

Powiedziano w programie, że „Był sobie więzień”, doskonała sztuka d'Anthon'a, młodego francuskiego dramatopisarza jest komedią. Francuska komedia, hm — prawdopodobnie nieodzowny trójkąt małżeński, łóżko na scenie i ładne neglige którejs z naszych uroczych artystek. Wiek, odrazu nastroił się na bez troski śmiech, czy uśmiech, i bardzo był zadziwiony, gdy odrazu w pierwszym akcie natknął się na poważny konflikt psychologiczny, który autor rozwiązuje z dużym artyzmem, nie cofając się przed głęboką dociekliwością, sięgającą chwilami granic tragedji.

Sprawa dostosowania się indywidualnej jednostki do standartowego, na pewną modłę uosobionego otoczenia, zawsze była sprawą palącą.

Zajmowała się nią gorąco dramaturgia angielska, nieco płycej amerykańska, częściowo polska, w osobie Nałkowskiej, ale nigdy i to tak poważnie, francuska.

Młody autor jest więc fenomenem swojego rodzaju: wnosi bowiem odżywczy powiew młodości, która, przepętniona tysiącem zagadnień, chce je wypowiedzieć wszystkie odrazu, stwarzając kompleks zagadnień ciekawych i pasjonujących. Samo założenie sztuki, zasadnicza zmiana, która zaszła w psychice człowieka, odsiadującego 15-letnią karę więzienną, jest może nieco gołosłowną, trzeba by może głębiej uzasadnić także zmianę, która przecież nie zdarza się na porządku dziennym.

Musiałoby tam być coś, co ją spowodowało, jakieś możliwości wewnętrzne, których usiłujemy się domyśleć, — i domysły te dopasować do postaci bohatera. Ale bieg akcji, żywy, ciekawy, przerywa wkrótce te nasze usiłowania. Bieg spraw (nie akcji, bo rzeczywistej akcji w sztuce jest stosunkowo niewiele), pochłania nas tak całkowicie, że oto zapominamy o jej punkcie wyjścia.

Czekamy z bijącym sercem na rozwiązanie, i ani rusz, nie umiemy go się domyśleć. Przychodzi niespodziewanie, i jakby banalne: ucieczka do prawdziwej wolności z więzienia konwensu, zakłamania i podłości. Nie razi nas jednak ta banalność, jak nie razi nas rozmowy o niby wyświechtanym temacie — cel życia. Autor podał nam te sprawy w sposób nowy, prawdziwy i wzruszający. Odkrył w nas prawdy, o których nie wiedzieliśmy, że istnieją.

Poza walorami czysto literackimi, sztuka ma również dużo walorów czysto scenicznych: doskonałą budowę i żywość dialogu. No i grana była doskonale. Prym wiodła przepyszna Cwi-

klińska, Maszyński i Znicz. Reszta aktorów tworzyła dyskretne tło, dla tego zespołu gwiazd; o dorównaniu im nie było chyba mowy. Widz z przyjemnością zrzucił z ust przygotowany zawczasu lekkomyślny uśmiech i przyobłócił twarz w zamyślenie. Miło jest być na sztuce, która pomaga do myślenia.

Za to na „Codziennik o 5-iej”, farsie, granej w teatrze Letnim, myśleć nawet nie wypada. Jest to stek szalonych nieprawdopodobieństw, odtworzonych w doskonałym tempie przez Smosarską, Gellównę, Grabowskiego, Wesołowskiego i innych. Widz się śmieje, bo nie może inaczej, ale pogardza sobą w głębi duszy za ten śmiech. Martwi się pozatem, że Grabowski tak się zmanierował i że Gellówna jest widocznie raz na zawsze skazana na role wzniosło szlachetnych żon. Jej nobliwa uroda doskonale się do tego nadaje.

Na zakończenie święto teatralne — „Wielki Fryderyk” Nowaczyńskiego w Narodowym. Tak, to jest coś, co się przeżywa, co jest niezapomnianym widowiskiem i ze względów literackich i ze względów scenicznych. Świetne

pióro Nowaczyńskiego, jego niezrównany dowcip i przenikliwość obserwacji, a obok tego reżyseria i gra Solskiego! Wiemy od lat, że Fryderyk był jego niezapomnianą kreacją. Pozostał więc do dzisiejszego dnia. Scenę rozmowy Fryderyka ze starym generałem, von Zittenem, jest czemś tak niezwykłym w dziejach teatru, że dla tej jednej sceny warto iść nie raz, ale 10 razy na Fryderyka.

Każdy szczegół obmyślonej genialnie przez autora postaci króla pruskiego, jest wygrany przez Solskiego z niebywałym wprost kunsztem. Dzielnie mu sekunduje Brydziński, jako Stary Zitten, wręcz świetny w owym niezapomnianym dialogu, oraz Stanisławski, jako cudownie, odtworzony biskup Warmiński. Ale co tu dużo wyliczać. Cały zespół gra koncertowo, nie wyłączając trzech ról kobiecych: Rotterowej, Żeliskiej i zawsze pełnej uroku Świerczewskiej. Takiego przedstawienia Warszawa dawno nie widziała! Dość superlatywów!

Zofja Miszewska.

## Ze srebrnego ekranu

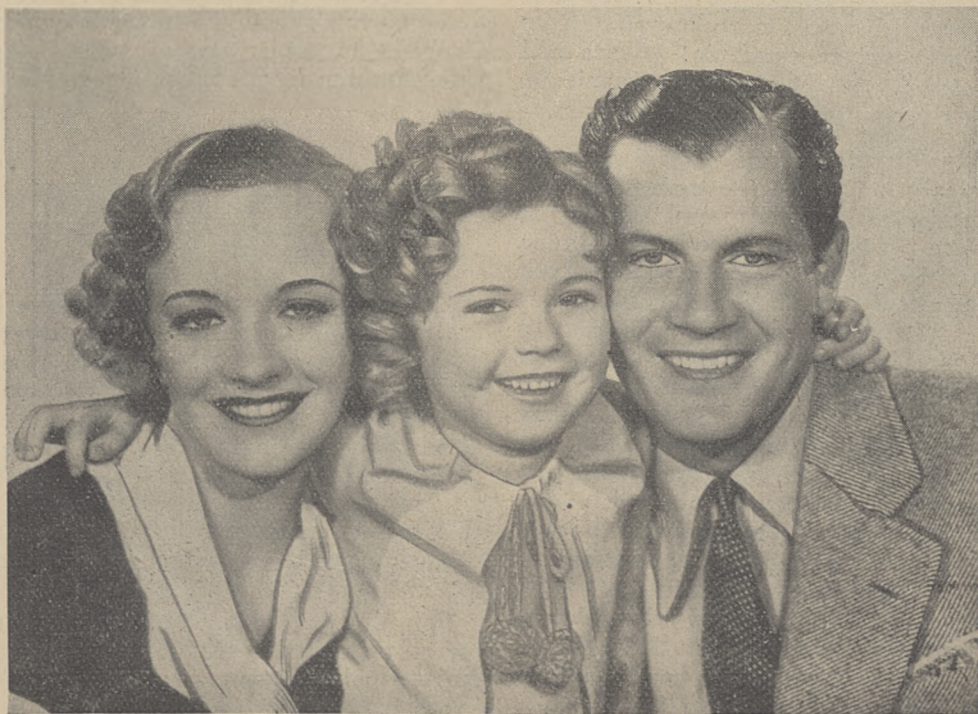
Wśród ostatnich programów, filmem bezsprzecznie najbardziej artystycznym jest „Peter Ibbetson” (reż. Hathaway). Amerykanie, których się zawsze odsądzało od umiejętności operowania tematami, wykraczającymi poza ścisły realizm, dowiedli tu, jak wielka jest skala ich możliwości. Nietylko bowiem potrafią wczuć się w atmosferę, związaną z pewną epoką i odtworzyć ją na ekranie (naprz. film o miłości R. Browninga i Elżbiety Barrett p. t. „Uwielbiana”), ale porywają się na oddanie w filmie tego, co stanowi wewnętrzną istotę danego stylu, — jego ducha. W filmie „Peter Ibbetson” pokazano nam właśnie ducha romantyzmu, jakgdyby od wewnątrz, traktując wszelkie stylowe akcesoria — strój, wnętrze, pejzaż — tylko jako sztafaż dla istotnej treści filmu. A treścią tą nie są fakty, lecz siła uczucia — wielka romantyczna miłość.

Rzecz dzieje się w połowie ub. stulecia. Kochankowie znali się jako dzieci, później życie ich rozłączyło. Podświadomie szukali się i dążyli ku sobie. Odnaleźli się przypadkiem, już jako dojrzały ludzie, i — pokochali, nie wiedząc, kim są. Ona jest już mężatką, on — niechcący zabija jej męża i zostaje skazany na dożywotnie więzienie. I tu dopiero zaczyna się romans. chociaż kochankowie nie mają się już nigdy zobaczyć. Kochają się, więc obcowanie duchowe wystarcza im. Napięcie ich uczuć sprawia, że wiedzą o so-

bie wszystko, w snach przeżywają eksztatyczne rozkosze wędrówek po uśpionej krainie, gdzie on wznosi dla niej zamki z chmur i błękitu, gdzie czyhają na nich złe moce, chcące ich rozłączyć. Ale oni przezwyciężają wszystko, bo przezwyciężyli materję. Nie istnieją dla nich odległości, ani kraty i

mury więzienne. Ilekroć zechcą, zawsze są razem, a choć ciała ich się starzeją, oni są wiecznie młodzi, piękni, rozkochani.

Opracowanie takiego tematu, zarówno dla reżysera, jak dla aktorów jest karkołomną ekwilibristyką, gdyż jak wiadomo, wzniosłość od śmieszności



Schirley Temple w filmie „Nasze słoneczko”.

dzieli tylko jeden krok. Jednak reżyser i para kochanków (Gary Cooper i Ann Harding) utrzymują cudowną równowagę na rozhuśtanej drabinie, zawieszanej między realizmem faktów a mistycyzmem marzenia; a chociaż, w miarę rozwijania się akcji, oddalają się od ziemi, czynią to w duchu romantycznej poezji, a nie jarmarcznych „cudów”. Fantastyczność snów i wizji kochanków jest utrzymana w tak samo ściśle romantycznym stylu (pejzaż, katalizm przyrodniczy, dialogi), jak i „ziemska” część filmu. Cały ten film stworzony z niedomówień, z cudownych obrazów (co za mistrzostwo fotograficzne!), opowiedziany niezwykle subtelnym i oszczędnym językiem filmowym — jest jakgdyby dźwiękiem lekko potrząsanych strun harfy. To też, dźwięk ten, przy całej swej słodczy i pięknie, wydaje się dziś trochę obcy, uszom, nawykłym do... hałaśliwego jazz-bandu. Spokój takiego zapatrzenia się w siebie dwóch istot ludzkich, zbyt odbiega od tego, co nas otacza — od burzliwego, skłóconego, niespokojnego świata „wielkiego chaosu”.

To też bliższy nam jest prawdziwy, nie wymaginowany dramat, złożony z... autentycznych zdjęć, zebranych z archiwów państw, biorących udział w Wielkiej Wojnie („Burza nad światem”). Widzimy tam wielkich aktorów i statystów Historji, poczynawszy od roku 1910; przed naszymi oczami przeświadcza się szereg panujących, wodzów, mężów stanu, bohaterów znanych i nieznanych — bitwy morskie i lądowe, upadek caratu i początki tworzącego się Państwa Polskiego, zakończenie wojny i... przygotowanie do nowej. „Suche fakty”, nie, tylko prawda, zmontowana w sposób możliwie rzeczowy i obiektywny, z dbałością o to, by nie urazić niczyich uczuć narodowych. A co za wstrząsające wrażenie! „Burza nad światem”, to groźne przypomnienie, nad którym warto się zastanowić.

Ale przejdźmy do tematów, mniej wzniosłych i mniej — groźnych. Nieporozumienia między małżonkami są zawsze przykre i mogą mieć poważne konsekwencje, ale gdy dzieckiem tych małżonków jest Shirley Temple, wiemy, że wszystko skończy się dobrze („Nasze słoneczko”). Bo Shirley jest nie tylko „cudownym dzieckiem”, ale przede wszystkim — dzieckiem: niema w niej nic ze „starej-maluśkiej”, nie jest przemądrzała, nie „gra”, nie jest sztuczna, zato posiada niezwykle dar naśladowstwa, temperament, poczucie humoru, intuicyjne zrozumienie sytuacji, których napewno nie zna z własnego życia, oraz niezwykle wdzięk, któremu trudno się oprzeć. Dlatego też, kto lubi dzieci, będzie się bawił na każdym filmie tej małej czarodziejki, bez względu na to, czy sam film jest lepszy lub gorszy.



Scena z filmu *Peter Ibbetson*.

Front „rozrywkowy” reprezentują jeszcze dwa filmy: „Całe miasto o tem mówi” i „Będziesz zawsze moją”. Pierwszy — to film, łączący zręcznie „dreszczyk” kryminalny z humorem i groteską i dający, na tle pewnego szablonu kryminalnej powieści czy filmu, kilka świeżych sytuacji i nowych typów. Drugi — to popis znanej amerykańskiej śpiewaczki operowej, Grace Moo-

re, w bardzo odpowiedniej oprawie filmowej: scenarjusz dobrze przystosowany do głównego celu (jaknajwięcej śpiewu), żywa akcja, dobra gra aktorska i sprawna reżyserja.

Film wiedeński: „Marja Baszkirczew” oraz nowe filmy polskie, z powodu braku miejsca, omówię w następnym feljetonie.

es-ha.

## BAL MODY

Dużo ładnych kobiet. Dużo pięknych tualet. Trzy sale i bar. Trzy orkiestry. Tańczy się tu i tam, ale bez przekonania. Atmosfera niepokoju i wyczekiwania, jak w teatrze przed podniesieniem kurtyny. Czajująca w hall'u dama zahacza zaaferowanego jegomościa nerwowem: — No i kiedy nareszcie?.. (Honny soit qui mal, y pense. To tylko kierowniczką salonu mód; a on to impresario).

Bal Mody, to raczej widowisko, a nie zabawa. Jedni przychodzą patrzeć, inni — pokazać się; a jeszcze inni — zarobić. I znowuż — honny soit...

Bal Mody, to największa i najefektowniejsza doroczna rewja tualet. Na

program zabawy-widowiska składają się: Konkurs na Królową Mody, o który to tytuł teoretycznie może się ubiegać każda z obecnych na balu pań i defilada żywych manekinów, demonstrujących wieczorowe kreacje czołowych, stołecznych domów mody. Na jedne i drugie głosuje publiczność zapomocą taloników, dołączonych do biletu wejścia.

— A jeśli ktoś zechce nabyć większą ilość takich biletów?

— Ba, jeżeli zechce i ma na to — to kto mu przeszkodzi?

Stąd podeksycytowanie uroczych uczestniczek konkursu, ich przyjaciół i wielbicieli, mężów, rodzin i... krawców.

Ci ostatni, przejmują się sprawą najpoważniej. Dla innych to zabawa — im chodzi o życie, o utrzymanie wznoszonej wysoko i z trudem, palmy pierwszeństwa nad ciasnym rynkiem mody.

O ile kandydatką jest artystka, sprawa jej efemerycznego królestwa żywo obchodzi dyrekcję jej teatru (bądź co bądź, reklama). Pani Korolewicz-Waydowa z widocznym zainteresowaniem i wzrastającą satysfakcją przyglądała się sukcesom swoich pupilek. Rzeczywiście, tegoroczny Bal Mody mógłby się nazywać, nie bez słuszności, Balem Opery. Na królową mody obrano primaballerinę, Olgę Sławską, smukłą, giętką, w tanecznych przerzutach niemal lotną, jak ważka, opłyniętą szklistym połyskiem modro - srebrzystego brokatu. Śpiewaczce, Ninie Grudzińskiej, której śniada uroda jaskrawo występowała z ram tkaniny, mieniającej się wiśniowo i lila, gęsto przetykanej złotem — przyznano zaszczytny tytuł „najwytworniejszej pani Warszawy”.

Ze urodziwych niewiast i wspaniałych tualet było bardzo wiele — tytuły mnożyły się niemal w nieskończoność. Wice-najwytworniejszą panią Warszawy została tancerka, Barbara Karczmarewiczówna (również z opery), śliczna w śnieżnej bieli muslinowego pepłusa. Wice-królową mody — Aniela Fedorowiczowa, w plisowanej tualecie Directoire z podwójnego szifonu o barwie cyklamenu i fijołków.

Potem odznaczano jeszcze damy

dworu królowej mody i vice-vice-vice-vic-najwytworniejsze panie. Jarmark próżności w pełni. Próżności zachłannej, nienasyconej, tej, co nigdy nie ma zadość.

Wśród onych dam i vice'ów, smukłością sylwetki i rozpromienienia twarzy czarowała jasnowłosa tancerka, Halina Radlińska w bufiastej krynolinie ze sztywnego i połyskliwego różowego jedwabiu. Malowniczy kontrast z nią tworzyła śniada i kruczowłosa piękność, p. Erika Redingerówna w stylowej tualecie z bładniebieskiej jedwabnej koronki. Na głowie uwieńczonej podwójnym dżademem warkocza i brylantów, miała koronkową zarzutkę.

Dowcipną pomysłowością bawiła oko zwinna, filigranowa sylwetka popularnej malarki-dekoratorki, Zofji Raczynskiej-Arciszewskiej, w krynolinie opalizującej, jak ciemna masa perłowa i zabawnym, mikroskopijnym kapelusiku à la chinoise, wsadzonym na bakier na gładziutko uczesaną głowę.

Bal Mody jest przede wszystkim balem kobiet; mężczyźni, szukający w zabawie niefrasobliwego odprężenia nerwów nie mają tu zastosowania. Na Balu Mody wszyscy są zafrasowani. Wśród nagrodzonych i ubiegających się o nagrodę wytworni i piękności uwiązają się, jak trzmielce w klombie kwiatów, — reporterzy, akwizytorzy, fotografowie i operatorzy. Każdy z nich ubija czy usiłuje ubić, *nagorąco* jakiś korzystny interes. W hall'u i na scho-

dach — oslepiające reflektory. Filmują, fotografują — praca wre.

Punkt kulminacyjny widowiska: — pod komendą przystojnego, operetkowego amanta i reżysera, wkracza na balowy teren wdzięczny korowód piękności, cudnie ustrojonych. Zalotne, jak rokokowe pasterki przeginają się, powabnie wsparte na wysokich laseczkach zakończonych w górze numerami. To żywe manekiny — konkurs firm otwarty. Złote i srebrne lamy, niebieskie lisy, gronostaje i sobole. Wszystko, co stolica posiada najwspanialszego i najbardziej luksusowego, pokazuje się na Balu Mody.

— Tylko, kto to teraz kupi? — mruczy z kwaśną miną właściciel znacznej części eksponowanych wspaniałości, który sam chciał, sam dał, sam wybrednie dobierał kobiety do tualet, słono się na to wszystko wykosztował, a teraz martwi się ponieważ, że mu velour'owo-brokatowe cudeńka opatrzą (łakomymi oczami kopistek), pogniotą mokremi z gorączkowej chciwości palcami, a rezultatu w postaci powiększenia klienteli — nie będzie.

W istocie, wszyscy się tłoczą, podziwiają, bardzo się zachwycają, ale.. czy kupią — któż, ach któż to wiedzieć może?

— Nie takie teraz czasy — stwierdza posępnie stary kelner, inkasując skąpe rachunki za czarną kawę i wodę sodową.

Well.



Kobieta, dbająca o urodę i elegancję, o efekt, jaki wywiera na otoczenie — powinna być zawsze „w formie”. Jeśli się ją widuje w pewnych porach dnia potarganą, źle ubraną, w przybrukanych pończochach, a wieczorem w całym blasku urody i elegancji, to jednak oko postronnego obserwatora zachowuje tamten obraz, podkłada go pod triumfalną wizję

## BRUNETKA — BRUNETKOM...



piękności oglądanej w odpowiedniej ramie — i wyciąga wniosek obelżywy:

— No tak, jak się „podciągnie” „podfryzuje”, „podmaluje”, ubierze — ale bez tych dodatków...

Profan! Laik!

Oczywiście, ale z nimi trzeba się liczyć. Z nich składa się „tłum” pogardzany, a wszech-

władny, stutysięczny. Ich głos urabia sławę piękności.

Więc albo — albo. Chcąc być zawsze dla wszystkich piękną, trzeba być bezustannie „pod bronią”. Zawsze czystą, zawsze uczesaną. Zawsze estetyczną.

Trudne to, ale konieczne.



Pewna śliczna, egzotyczna artystka filmowa, drobna jak kosztowne cacko, czarna jak kotka, a słodka jak... śliwka w spirytusie, daje brunetkom cały cykl rad, dotyczących zabiegów, uwypuklających piękność przyrodzoną. Niewątpliwie czasem wypowie się i jakaś złotowłosa gwiazda w tej materji i zacznie udzielać wskazówek blondynkom, — ale przypuszczalnie, pouczenia jej niewiele różnić się będą od tych, które zamieszczamy poniżej.

Największy nacisk kładzie uroczą artystką na pielęgnację włosów. Nie pozwala ich odbarwiać, nie radzi jednak upierać się przy długich splotach, jeśli krótkie loki czynią twarz młodszą, bardziej powabną. Twierdzi, że włosy są przez współczesne kobiety najbardziej zaniedbanym atutem urody. Każe je szczerkować we wszystkich kierunkach — codzień — przynajmniej przez kwadrans, aby nabrały blasku. Swoje czarne kędziory, zresztą zupełnie gładkie z natury, myje w wodzie z mydłem i spłukuje wodą z dodatkiem soku cytrynowego. Suszy je... w słońcu! Ba! mieszka w Hollywood. — Cery nie przeładowuje

szminkami, podmalowuje dyskretnie smagłym rumieńcem, pudruje do tonu ciała dobranym pudrem. Gimnastykę robi codziennie. Z zamiłowaniem uprawia sport pływacki. Kąpiele słoneczne bierze przez cały rok. Kocha słońce do szaleństwa i nie boi się jego pieczoty. Ręce i nogi otacza jednakową tkliwą pieczołowitością. Codziennie przez 10 minut masuje palce i stopy, używając do tego tłuszczu zwierzęcego lub ogrzanej lekko oliwy. Jest to, według niej, konieczny warunek sprawnego, estetycznego chodu. Oczy retuszuje możliwie najmniej, a blask ich potęguje odpowiednią ilością godzin zdrowego snu.

W jedzeniu doradza wstrzemięźliwość, — raczej jarzyny, niż mięso, — raczej owoce niż słodycze, — raczej głód, niż przejedzenie.

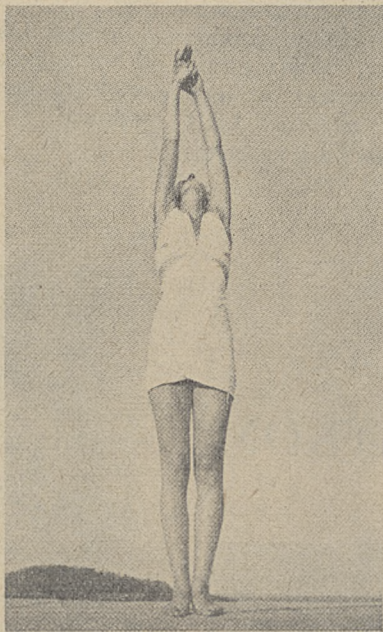
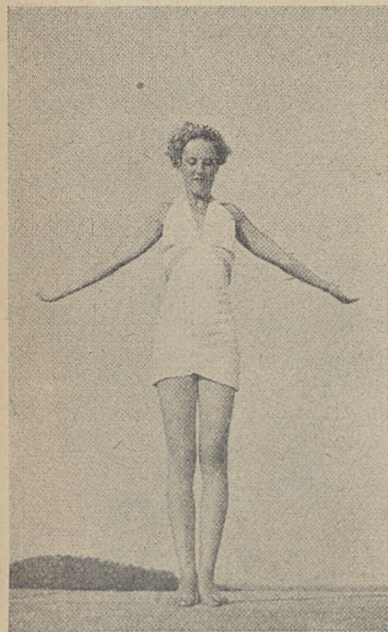
I to są, jakoby wszystkie jej recepty piękności... Zaznacza jednak, że zabiegi te wykonuje codzień...

Nasze panie też cenią piękność i chciałyby ją zachować. Wydadzą jednak raczej kilkanaście złotych na kremy, niż odrobiną gimnastykę rano, lub wymasują stopy.

### CODZIENNA GIMNASTYKA

Ćwiczenie Nr. 3. Pozycja początkowa: ręce wzdłuż ciała miękko puszczone. Ruch. Głęboki wdech przez nos przy równoczesnym odrzuceniu ramion wtył. Wzniesć ramiona ku górze i rozłożyć, tak, aby ręce znalazły

się na poziomie głowy, możliwie najbardziej odchylone wtył. Wydech przy powrocie do pozycji początkowej. Wykonać to ćwiczenie forsując ruch i oddech.



## KĄCIK RADJOWY

ZAPOMNIANY POETA WARSZAWSKI — FELICJAN FALEŃSKI. RADJOWY SZKIC LITERACKI

Felicjan Faleński, przyjaciel Norwida należy do tych poetów, którzy nigdy nie zabiegają o poklask świata. Dlatego może był i jest tak mało znany. „Wieczór literacki”, poświęcony temu zapomnianemu poecie w dniu 27 stycznia o godz. 22.00, opracowuje dla radja prof. Julian Krzykanowski, z pod którego pióra wyszedł szereg studjów o poecie.

CZEGO PRAGNĄ RADJOSŁUCHACZE?

Przewodniczący wycieczek stwierdzają stale i jednogłośnie, że uczestnicy domagają się

ich w jaknajszerszym zakresie. Nie ulega kwestji, że radjosłuchacze stolicy pragną ją poznać, jeśli im się to umożliwi. Naprzykład na wycieczce zatytułowanej: „Szlakiem bohaterów Potopu”, której celem było pokazać zabytki miejskie z czasów wojen szwedzkich, zgromadziło się 200 osób. Powtórzona na życzenie radjosłuchaczy po raz drugi w tym sezonie wycieczka do Cytadeli, zgromadziła aż 750 osób. Jest to dowodem, że Radio spełnia życzenia wielu swych słuchaczy.

Rzecz prosta, wycieczki będą się odbywały i nadal, narazie, aż do wiosny głównie w obrębie miasta, później poza miasto. Obiektów nie zabraknie, gdyż, mimo niekorzystne-

go położenia krajobrazowego Warszawy, jest jeszcze co zwiedzać i w niej samej i w jej okolicach.

WIERSE LEOPOLDA STAFFA PRZEZ RADJO

Jeden z najświetniejszych poetów, Wiceprezes Polskiej Akademji Literatury, Leopold Staff dość często przemawia w radiowych „Minutach poezji”; bo też poezja jego jest niezmiennie młoda, a każdy nowy tom Staffa zadziwia świeżością barw i zapachów. Recytacja oddana została w godne ręce dyrektora Teofila Trzczińskiego, który wypowie kilka wierszy tym razem z dawniejszych zbiorów (dnia 27.1. o godz. 17.15).

# Jak obronimy się w domu przed gazami trującymi

Już dwa próbné ataki lotniczo-gazowe były w stolicy, wiele wydano rozporządzeń, broszur. Wiele osób przeszło kurs oplg. Wiele jednak nie wie jeszcze, że z każdego domu można łatwo uczynić fortecę przeciw gazom i przetrwać w niej bezpiecznie, razem z dziećmi ciężkie chwile lotniczego napadu.

Jakżeż urządzać takie pomieszczenie? W co się trzeba zaopatrzyć do tego celu? Jak się potem w nim zachować?

Kto się tego wszystkiego chce dobrze nauczyć, pójdzie na kurs OPLG., urządzany przez LOPP., przeczyta szereg podręczników. W tym artykule mało mamy miejsca i tylko krótko odpowiemy na te pytania.

W każdym mieszkaniu można jedną z izb przygotować do obrony. Objętość izby obliczyć w metrach sześciennych, mnożąc długość przez szerokość i wysokość izby. Przypuśćmy  $4 \times 5 \times 3$ . Te 60<sup>3</sup> powietrza ma starczyć na 5 osób, które na godzinę zużyją 10 m<sup>3</sup> powietrza, zatem 60 m<sup>3</sup> : 10 m<sup>3</sup> da nam 6 godzin oddychania. To jest zupełnie dobry czas i jeszcze z zapasem. Musimy tylko pamiętać o odliczeniu objętości mebli i pieców, które wypierają powietrze z pokoju.

Dalej, izby, położone na wyższych piętrach i od frontu, są lepsze, niż położone nisko, od podwórza. Gazy pełzają nad ziemią i zatrzymują się w studniach podwórzowych, skąd je trudno wywietrzyć. Im mniej sprzętów w izbie, tem więcej powietrza. Do uszczelniania pomieszczenia nie trzeba nadzwyczajnych rzeczy. Musimy mieć w domu: koce, paski filcu, szmaty, pakuły, towot (smar gęsty), glinę, kit i wodę.

Zanim zabierzemy się do uszczelniania, obejrzymy sobie pokój po gospodarsku. Szyby muszą być dobrze okitowane, ramy szczelne i dobrze pomalowane, futryna musi mocno siedzieć w murze. Drzwi ospachlowane i parę razy pomalowane olejno, żeby w drzewie nie było szpar, futryna drzwi nie odstająca, próg zawsze pożądanym i to nie wytarty, a równy, nie dający przewiewu od dołu. Piec musi być starannie wylepiony gliną, przewody szczelne.

Po tem szczegółowem obejrzeniu pokoju i wyreperowaniu gospodarskich braków, możemy go dopiero przygotować na pomieszczenie uszczelnione. Drzwi i okna uszczelnimy dokładnie paskami filcu, który powinien być dobrze zwilżony towotem.

Filc nie może być ułożony obok szpary, między ramą a futryną, a musi szparę wypełniać i poza nią brzegami wystawać. Musimy przytem zwrócić uwagę na nierówne szpary przy ramach, gdzie trzeba ewentualnie położyć filcu grubiej (na progu). Filc powinien być położony tak grubo, żeby sprawiał pewną trudność przy zamykaniu. Podejrzane miejsca przy szybach okitujemy, a także szpary na ramach i futrynie, czy w drzwiach. Pomiedzy podwójne okna i drzwi, których nie używamy, napakujemy mocno ubitych szmat mokrych, a całe okno i drzwi zabijemy mokremi kocami, które w czasie napadu muszą być ciągle mokre. Piece i przewody wentylacyjne, po wylepieniu gliną, zatkamy mokremi szmatami, kładąc mokrą szmatę na drzwiczki od wewnętrznej strony i zaciskając zamek. Zamki muszą być oklejone papierem, nie tylko same dziurki, ale cały zamek z klamką dokoła.

Jeśli domy nasze znajdują się w miejscach więcej zagrożonych (pobliz fabryk, kolei, budynków rządowych), musimy zabezpieczyć okna okiennicami. Najlepsze będą okiennice zewnętrzne, żelazne 5 mm grube, które chronią od odłamków bomb, podmuchu wybuchów i od gazów. Cieńsze i tańsze blaszane bronią tylko od podmuchu i gazów. Najtańsze z dykty (klejonki) bronią tylko od gazów. Wszystkie te rodzaje okiennic muszą

być dobrze dociśnięte do futryny za pomocą specjalnych rygli. Niezależnie od okiennic, okna muszą być uszczelnione wyżej podanym sposobem. Okna na parterze można uszczelnić bardziej prymitywnie, obstawiając je zzewnątrz workami z piaskiem, albo zasypując wałem ziemi.

Drzwi, któremi na alarm wejdziemy do pomieszczenia, muszą być taksamo uszczelnione.

Pakuły, glinę, towot, kit, koce, gwoździe, kleje musimy mieć w pomieszczeniu uszczelnionem pod ręką, ażeby naprawiać niemi doraźnie uszkodzone uszczelnienia. Poza tem w pomieszczeniu musimy mieć wodę świeżą do picia, wodę do uszczelniania, trochę jedzenia nie psującego się i nie wydzielającego zapachów. Ponieważ w ruchu człowiek zużywa więcej powietrza, jeśli miejsce w izbie pozwoli, najlepiej leżeć w czasie napadu, lub conajmniej siedzieć, trzeba więc mieć przygotowane ławki, czy pośłania. Dobrze też będzie mieć szczelny, przenośny klozet. Jako światła można używać tylko elektryczności. Każde inne zużywa powietrze. A że linja może być przzerwana, najlepsza będzie latarka z zapasową baterją.

Tak przygotowany dom obroni niejedną rodzinę. A wkrótce napiszemy, jak się trzeba w nim zachować podczas nalotu nieprzyjacielskiego.



Nauka obchodzenia się z maskami ochronnymi.

Serwetka

haft angielski



Marioq





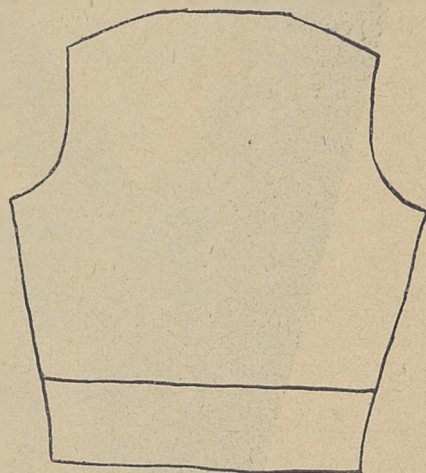
*Bok:* Zacząć 35 oczkami ściągawki szerokości 9 cm, następnie ściegiem gładkim.

*Kamizelka lewa strona:* Zaczyna się od strony podłужnej 125 oczkami: 1 rząd: 15 oczek prawo, 15 oczek lewo na zmianę, na dole zawsze robić 4 oczka prawe by uzyskać brzeg; 2 rząd: te oczka które poprzednio były prawe, obecnie robić lewe, brzeg zawsze prawy; 3 rząd: robi się tak jak rząd 1, lecz przesunąć wzór o jedno oczko; 4 rząd: jak rząd 2, tak robić do połowy kamizelki oznaczonej na rysunku linią — — — wtedy wzór przesunąć o jedno oczko w przeciwnym kierunku jak poprzednio. Na zakończenie brzeg 3 cm. tylko prawo.

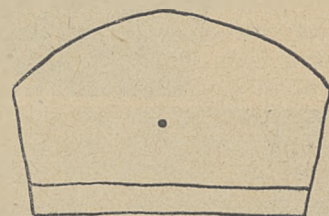
*Kamizelka prawa strona:* Robi się zupełnie tą samą techniką co stronę lewą, tylko na brzegu wyrabia się 5 dziurek do guzików.

*Kołnierz:* Zaczyna się 125 oczek robiąc tylko prawo, szerokość 8 centymetrów.

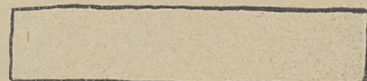
*Mariog.*



*Plecy*



*Rękaw*

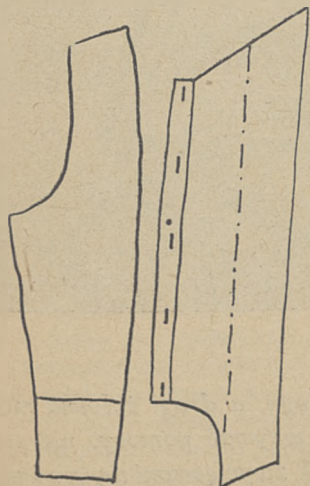


*Kołnierz*

## KAMIZELKA Druty Nr. 3. Wełny 250 gr.

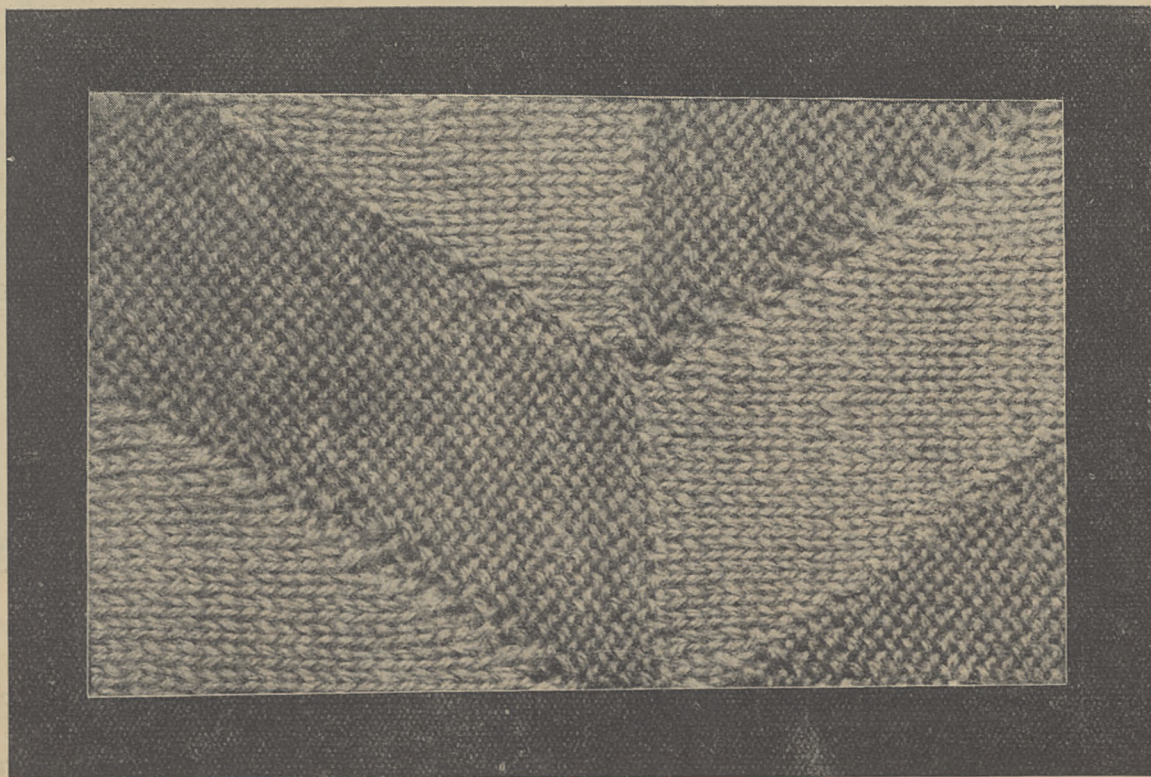
*Plecy:* Zaczyna 120 oczkami ściągawki, którą robi się ściegiem jedno oczko prawe jedno lewe, robić do 9 cm. szerokości, następnie ścieg gładki, jeden rząd prawo, jeden lewo fason stosować według wykroju.

*Rękaw:* Zaczyna się 35 oczkami ściągawki (jak wyżej) szerokości 5 cm., następnie ścieg gładki.



*Bok Kamizelka*

## ŚCIEG KAMIZELKI





Z tych miniaturowych postaci schwytych na „gorącym uczynku” zaprawy sportowej wyrosną z czasem „asy” naszych drużyn.

Dzielna postawa „zawodowców” o rozrardowanych buziakach świadczy najlepiej o rozkoszach białego sportu. Kto wie, czy i ci mali upośledzeni, z których jeden rozciągnął



się na śniegu, a drugi żałosną minką zdaje się wzywać pomocy, nie staną się kiedyś zwycięzcami wyżyn i przestrzeni.

# W OBRONIE DNIA POWSZEDNIEGO

W gorączkowym tempie przejmowania „Tygodnika Kobiety”, dzień powszedni zasnuł się mgłą zapomnienia.

Walka o życie pisma, przed którym rozciągałyśmy tak szerokie horyzonty w chwili powoływania go do życia, przysłoniła sobą wszystkie inne zagadnienia. Musiał ustąpić jej z pola i dzień powszedni — nasz beniaminek, o którego radosne, szczęśliwe (i zdrowe) oblicze, walczymy tak planowo od pierwszego zeszytu Tygodnika.

Chociaż daleko nam jeszcze do spokojnej równowagi, chociaż odpowiedzialność, jaką wzięłyśmy na siebie, jest w praktyce najlepszym dowodem, że nie tylko „pierwszy krok kosztuje”, kosztują drogo te trzecie, piąte i dziesiąte, to jednak trzeba wrócić do formy i zacząć znów bronić zagrożonych placówek.

„Dzień powszedni” nie powinien pójść w zapomnienie nawet w tak radosnej chwili, jaką jest wysłanie w świat pierwszego numeru „naszego Tygodnika”, podpisanego przez Kobięcą Spółdzielnię Wydawniczą.

Wobec szeregu grzechów, jakie mamy w ostatnich tygodniach na sumieniu w stosunku do tego naszego „benjaminka”, nie potrzebuję doszukiwać się tematu. Jest przedemną pulsujący życiem, zaczepny, ironicznie uśmiechnięty, bo... co tu owijać w bawełnę, pogwałciliśmy równowagę dnia powszedniego.

Nie wyobrażajmy sobie, że najlepiej trafi do naszej wyobraźni człowiek czysty jak łąka, referując brzydotę grzechu. To nieprawda! „Bezgrzeszny” nie

zreferuje nigdy przekonywująco tego tematu. Nie zna go i nie ujmuje rzeczowo. Natomiast nikt nie porwie tak słuchaczy, jak grzesznik, który w chwili opamiętania ostrzega i woła na trwogę.

My wszystkie „matki Tygodnika Kobiety” jesteśmy dzisiaj temi grzesznikami w obliczu dnia powszedniego. Zaniedbany, wytrącony z równowagi, upomina się o względy. Nie chce już znosić dłużej gorączkowego tempa. Buntuje się przeciwko wyciekającym godzinami, odgrzewanym obiadom; sygnałom telefonicznym, naruszającym spokój o niesamowitych wprost godzinach; pogwałconym zwyczajom; dyspozycjom, wydawanym „po czasie”; chaosowi, wynikającemu z przesunięcia na ostatni plan zagadnień pierwszoplanowych.

Wystarczy bowiem pozwolić sobie raz, pod wpływem wysokiego napięcia jakichś „niedomowych” zainteresowań, zbagatelizować porządek rzeczy, wypowiedzieć głośno „dajcie mi spokój z temi głupstwami, mam ważniejsze rzeczy na głowie”, aby ład i skład planowo ujętego życia domowego rozsypał się w gruzy.

Niech mu zabraknie chociaż na chwilę naszego czujnego, sprężystego kierunku, niech głowa domu straci panowanie nad sobą, niech wypuści cugle z ręki, a rozszałałe rumaki chaosu poniosą w tempie trudnym do opanowania.

Musimy umieć i móc dać sobie z tem jakoś radę.

Przeżycia epokowe, katastrofy, szczęśliwe olśnienia, smutek, przygębienie, zdenerwowanie, pośpiech, ra-

dosne podniecenie to nastroje, pod których wpływem wychodzimy z formy. Głupstwa przestają nas obowiązywać stają się ciężarem, z dźwigania którego chętnie same siebie rozgrzeszamy. Ale nie rozgrzesza nas życie, wołające o swoje prawa w ramach nie tylko dni, ale godzin i minut.

Trzeba umieć to wszystko pogodzić, trzeba umieć przede wszystkim opanować samą siebie. Nie przeczyć wyznawanym prawdom: ładu, spokoju, porządku, punktualności, a nade wszystko odpowiedzialności za wzięte na siebie obowiązki.

Jak bardzo trudne to zadanie, wie każda z nas pracująca poza domem, każda, której doba powinna mieć co najmniej 48 godzin, aby można było spokojnie i wzorowo wypełnić wszystko, za co odpowiadamy, no i jeszcze w dodatku wykraść godzinę, dwie dla samej siebie i jeszcze mieć czas na sen, na odpoczynek, gwarantujący możliwość wydajnej pracy.

Sen o szczęściu, sen, niestety, nieziszczalny, to byłby dom, oczekujący nas po dniu szarpiącej nerwy pracy, jak gościnny gospodarz, co umie wyczarowywać same uśmiechy. Ale życie nie jest bajką, nie spełniają się w niem ani sny, ani takie marzenia. Musimy więc wyćwiczyć się jeszcze i w tej wielkiej cnocie opanowania, spokoju, władania samymi sobą. Nie wystarczy to, że coś będzie zrobione, trzeba odpowiadać jeszcze i za to, jak będzie zrobione!

Wanda Dobrzańska.

## Z DOBRODZIEJSTW CYWILIZACJI

Siedziało nas cztery, stare znajome, powiedziałabym przyjaciółki, gdyby nie to, że tak często się używa i nadużywa tej tak poważnej i takie duże obowiązki wkładającej nazwy.

No i rozmawiałyśmy naturalnie o ciężkich warunkach kryzysowych, o zmniejszeniu dochodów, obcięciu pensji i emerytur, o przykrych konieczności oszczędzania, o drogach jakimi się idzie, aby zrealizować projektowane oszczędności.

I nagle najzamożniejsza z nas — jedynie pracująca sama na siebie, lecz mająca męża na wysokim stanowisku i prowadząca dom na wysokiej stopie towarzyskiej, odezwała się bardzo stanowczo: „Zaczynam od skasowania gazu. Kosztuje mnie on więcej niż wę-

giel do całego, pięciopokojowego mieszkania, a ostatecznie zimą wcale prawie z niego nie korzystamy. Kawa do śniadania, popołudniowa herbata, czasem jakieś żelazko, jeżeli chodzi o pośpiech, blachę kuchenną i tak się cały dzień pali, ostatecznie zapali się ją o parę godzin wcześniej, to nie będzie stanowiło różnicy, a oszczędność wyniesie kilkadziesiąt złotych”.

Dwie drugie panie — jedna, wzorowa gospodyni, wychowująca przy szczupłych zarobkach męża, troje dzieci i niemająca nawet stałej pomocnicy domowej a tylko przychodnią posługaczkę, druga urzędniczka, mieszkająca w jednym pokoju, gorąco zaproteutowały.

„Kilkadziesiąt złotych i to przy gotowaniu

na węglu. Coś z tym gazem jest nie w porządku. Ja gotuję rok cały na gazie tylko. Oczywiście na gazie robi się wszelkie drobne przepierki i prasuje suknie, bluzki, drobne rzeczy toaletowe. Grzeje się na gazie wodę do zmywania naczyń i statków kuchennych — w ogólności blachy węglowej używa raz na miesiąc do dużego prania i mimo to mój miesięczny rachunek za gaz nie przekroczył jeszcze nigdy dwudziestu złotych” — powiedziała pierwsza.

„Co ja bym robiła bez gazu, odezwała się druga, na mojej jednopłomiennej maszynce gazowej nie tylko gotuję sobie śniadania i kolacje, lecz i obiady. Te ostatnie nie tylko ze względów zdrowotnych, lecz i oszczędnościowych. Grzeję sobie wodę do mycia się, co

mi oszczędza pięć złotych, które musiałabym płacić gospodyni za tę wodę podawaną dwa razy dziennie. Popelniam nawet zbytki. Na święta Bożego Narodzenia upiekłam sobie struclę, piernik i keks w prodige'u, a na Wielkanoc babkę, tort i pasztet w kruchem cieście. Naturalnie, nie zjadłam tego wszystkiego sama, choć się mieszka w jednym pokoiku, zachowuje się jednak tradycje gościnności polskiej — dodała z promiennym uśmiechem. No i płacę za gaz pięć do sześciu złotych miesięcznie, a w miesiącach popelniania ekscesów gastronomicznych i czasem latem, jeśli mnie skusi chęć usmażenia kilku stoików konfitur, rachunek się podnosi do siedmiu złotych".

„Naturalnie obie panie przeszłyście kurs gotowania na gazie” — zauważyłam od siebie.

Owszem, odpowiedziała matka rodziny. Już przed kilku laty, właśnie wtedy, kiedy nam warunki materialnie tak się zmieniły. Dawniej, kiedy miałam stałą służącą i sama mało zaglądałam do kuchni, płaciłam za gaz dwa razy więcej. Dopiero po tych kilku lekcjach nauczyłam się racjonalnie obchodzić z tem dobrodziejstwem cywilizacji, jakim jest gaz dla mieszkańców miast".

„Gdzie bym znalazła czas na słuchanie całego kursu, westchnęła urzędniczka. Mnie wystarczyły zupełnie środowe pokazy w gazowni. Na nich nauczyłam się obchodzić racjonalnie z moją maszynką. A gotować prędkie i tanie potrawy, nauczyłam się w tejsze gazowni na pokazach urządzanych przez Związek Pań Domu, szkoda wielka, że się już skończyły, coraz to coś nowego przybywało do moich kawalerskich jadłospisów".

Uważała, że wszelka propaganda stosowania gazu w gospodarstwie domowym, jest zupełnie zbyteczna, dwie inne panie były przekonane jego zwolenniczkami.

Wspólnymi siłami chciałyśmy przekonać tę jedyną przeciwniczkę o jej mylnym na gaz poglądzie. W tym celu przeprowadziłyśmy niedyskretną indagację.

„Czy wszyscy domownicy (państwo, dzieci i dwie służące) jednocześnie jadają śniadania”? Okazało się, że nie i że śniadania rozpoczynają się od pół do ósmej a kończą po jedenastej, przyczem gaz się cały czas pali, bo nikt czekać nie lubi, natomiast wszyscy lubią gorącą kawę. Pozatem kucharka też lubi kawę, pije ją potrosze dzień cały i trzyma imbryk z kawą na „małym” gazie, aby jej nie zabierał miejsca na blasze. Ponieważ drobnego prasowania jest dużo, a na temat grzania dusz i stąd przeszkód w gotowaniu, powstają konflikty pomiędzy kucharką, a pokojową — ta ostatnia zawsze trzyma żelazko na „małym” gazie, aby było na wszelki wypadek, na pogotowiu, pozatem dowiedzieliśmy się, że ponieważ piecyk pod blachą jest dobry — to jest bardzo gorący, gotowe potrawy kucharka tu trzyma w piecyku gazowym na „małym” ogniu.

Stanowczo ten „mały” ogień, był jedną z przyczyn „wielkich” rachunków; gaz palił się właściwie dzień cały.

Otóż jedną z wyższości opalu gazowego nad węglowym jest to, że można go używać ściśle tyle, ile go potrzebujemy. Naturalnie

przy zmniejszonym ogniu, wychodzi go znacznie mniej, jednak nie o tyle, aby sobie pozwalać na całodzienne jego palenie. Jako przykład rażący przytoczyłam duży rachunek, jaki zapłaciłam za miesiąc mojej nieobecności, kiedy życliwa moje pomocnica suszyła w piecyku gazowym koperek, majeranek, pietruszkę i pokrajane jarzyny do zup na „małym” ogniu, ale za to dzień i noc i bardzo dumna te zapasy, po moim powrocie przedstawiła.

## NIE NARZEKAJMY

Któż z nas nie przyzwyczaił się wdychać do *dawnych, dobrych czasów*, — kto wspomina te minione lata bez łezki rozrzewnienia i w czym głosie nie brzmi smętna nuta tęsknoty?

Wszystko widziane z perspektywy lat nabiera wartości — wszystko we wspomnieniu wydaje się lepsze, miłsze, piękniejsze.

Tak — wszyscy o tem wiemy, ale nie zawsze o tem pamiętamy. I kiedy zastanowimy się dobrze, i do naszych rozważań zastosujemy metodę analityczną, rezultaty wykażą nam, że wrzuszamy się niepotrzebnie, bo wszystko, co nam się z oddalenia wydaje tak dobre i miłe, okazuje się na dzisiaj niewystarczające — niewystarczające na nasze obecne wymagania. Bo zmieniły się warunki, zmieniły się nasze stosunki materialne, ale przede wszystkim zmieniliśmy się my sami.

To, co kiedyś nam odpowiadało, jest w naszych oczach dzisiaj więcej niż niezadawalające. — Wzrosły nasze pretensje, zróżniczkowały się wymagania. Najoczywistszym i najjaskrawszym dowodem tego, są objawy kultury czysto zewnętrznej. Taki już jest porządek świata, taka już jest konstrukcja istoty ludzkiej, że zanim intelekt zapragnie czegoś dla siebie, ciało chce mieć wszystko, co jemu jest potrzebne. Ale te właśnie potrzeby czysto zewnętrzne, wkraczające w dziedzinę higieny i estetyki torują drogę kulturze duchowej — są niejako jej pionierami i dlatego są czemś bardzo pożądanym i chwalebny. W człowieku, który otwiera wrota kulturze fizycznej — kiedy już osiągnie to, co mu ona dać może — budzą się i inne wymagania — pragnie podnieść nie tylko swą stopę życiową, ale umożliwić sobie dostęp do rozrywek kulturalnych, interesuje się tem, co go w stanie jego „pierwotnego” życia nie zajmowało.

Ale wróćmy do tego, jak to „bywało”.

Mówimy oczywiście o zewnętrznej formie życia. Nauczyliśmy się dzisiaj

Ze swojej strony zakomunikowałam moim gościom, że jeżeli zimą jestem zmuszona uciekać się do węglowej blachy — gdyż kuchnia jest duża i nie ma innego ogrzewania, to rachunki za gaz do samej kawy i wieczorowej herbaty spadają do śmiesznej ceny paru złotych. No i wszystkie trzy solidarnie wzięłyśmy słowo, że ta nasza czwarta zaraz się zapisze na kurs gotowania na gazie i zacznie pilnie chodzić na pokazy środowe.

Pani Elżbieta.

narzekać, kiedy sobie np. nie możemy w danej chwili pozwolić na suknie, kostjum, czy palto. Zastanówmy się, ale tak z ręką na sercu, jak było dawniej. Weźmy przeciętną kobietę, żyjącą w ograniczonych warunkach, np. żonę średnio uposażonego urzędnika. Podczas gdy dawniej suknia, kapelusz, buciki, palto i rękawiczki — jedna para do wszystkiego — druga od święta, składały się na całą jej garderobę — ile musi mieć fatalaszków dzisiaj, by nie powiedzieć: właściwie jestem nieubrana — poprostu nie mam co włożyć. Każda pora dnia wymaga innej sukni, każda suknia innego okrycia, każde okrycie innego kapelusza, pantofli, woreczka, rękawiczek. A że czasy są ciężkie i nie zawsze na wszystko starcza, mnożą się z chwili na chwilę malkontentki, wdychające do „dawnych, dobrych” czasów.

A strój domowy? Odwołuję się do ustępu doskonałej powieści Boguszewskiej „Całe życie Sabiny”, w której wspomina mężczyznę, noszącego „na podomku” zamiast szlafroka, podarte stare palto, i rozczochraną, nieumytą kobietę w płaszczu, nałożonym na koszulę, w kaloszach na bosych nogach. — Więc to są te idealizowane dobre lata? A dzisiaj — czy znajdziemy w średnich sferach tak niestaranne, tak zaniedbane kobiety?

Dzisiaj każda z pań rozumie, że należy mieć ranne pantofle specjalnie do tego celu przeznaczone, — a nie znoszone balowe, — i każda prawie ma je. — Estetyczny szlafroczek niekoniecznie drogi — narzuca w chwili, kiedy wstaje z łóżka. A pyjamy? Czyż należą do takich rzadkości, czyż są przywilejem tylko wybranek losu? Prawie każda kobieta ma w swej garderobie bodaj jedną pyjamę. Więc poco się wrzuszać wspomnieniami i okłamywać się, że było lepiej?

A teraz zajrzyjmy do wagonu i przypatrzmy się podróżującej dzisiejszej kobiecie. Zrozumiała ona, że zniszczona suknia, której już nie szkoda na czad kolejowy i kurz podróżny, nie jest ani stosownym, ani wygodnym ubraniem do wagonu. I ma suknię przeznaczoną do tego celu — ma odpo-

wiedni płaszcz i półbuciki i woreczek.

Więc jeżeli czasem się zdarzy, że chwilowo brak jakiegoś szczegółu toaletowego, to przeczekajmy raczej, aż

## Nowa książka kucharska

Z radością przywitają z pewnością wszystkie panie domu w całym kraju nową książkę kucharską p. Elżbiety Kiewnarskiej wydanej przez R. Wegnera w Poznaniu. Minęły bezpowrotnie czasy Lucyny Cwierciakiewiczowej kiedy stoły uginały się wprost pod ciężarem potraw, kiedy ogospodynie liczyły dodatki do ciast na kopy i mendle, a określenie *smacznie i tłusto* stawało się synonimem słowa „zdrowo”. Minęły bezpowrotnie i bynajmniej nie należy ich żałować. Ale kłopoty pań domu pozostały niezmiennione, ba nawet wzrosły do upiornych rozmiarów wraz z redukcją i niższą uposażeń urzędniczych.

Nawet w tak ciężkich warunkach ekonomicznych, w jakich obecnie żyjemy, nie może ani na chwilę zapomnieć gospodyni o dostarczaniu swoim najbliższym taniego ale niemniej zdrowego pożywienia. Głęboko zakorzenione przesady dawnych jadłospisów sprawiają, że w wielu domach, u skądinąd bardzo praktycznych osób, menu odznacza się wybitnym brakiem pomysłowości, bez należytego uwzględnienia jarzyn i owoców. Zwiększa gospodynie posiadające liczną rodzinę i grono znajomych, u których najazd niespodziewanych gości staje się chronicznym zjawiskiem, ciągle odczuwają brak odpowiedniego poradnika, przy pomocy którego mogłyby zamienić skromny obiad w wykwintne przyjęcie. Wszystkim tym niedolom i bolączkom świata kobiecego znakomicie zaradzi świetna książka p. Kiewnarskiej p. t. „200 obiadów”. Panie obarczone liczną rodziną lub prowa-

znajdą się pieniądze na ten konieczny wydatek, a nie wzdychajmy do tych *lepszyc czasów*, i nie narzekajmy, nie narzekajmy!

Janina Wąglowa.

dzące pensjonat znajdą w niej doskonałe wskazówki, przeistaczające monotonię odżywiania w smaczne posiłki, w których wszelkie konieczne części składowe, jak mięso, ryby, dania mączne i jajeczne, jarzyny i owoce są jednakowo uwzględniane. Nieocenioną pomocą będzie książka dla pań zarządzających pensjonatami, tam gdzie trzeba mieć od razu kilka rodzajów obiadów na przykład dla lepiej płacących gości, dla jaroszów, dla chorych.

Pozatem praca p. Kiewnarskiej posiada cały szereg pięknych i barwnych ilustracji, które znakomicie ułatwią estetyczne podanie potraw tak upośledzone przy dzisiejszym braku wyrobienia służby domowej.

Podręcznik nie jest bynajmniej przeładowany tysiącami przepisów, które utrudniają szybki wybór, niemniej jednak podaje większość smacznych potraw nie tylko kuchni polskiej, lecz międzynarodowej. Sposoby przyrządzenia tych dań są jaknajbardziej uproszczone, a mimo to dają maksimum smakowych i zdrowotnych rezultatów. Zwłaszcza dział legumin, kanapek, ozdobnych nakryć do stołu pochlubić się może prawdziwą kopalnią nowych pomysłów i pożytecznych wskazówek, które uzupełnią zapas wiedzy każdej gospodyni.

Książka p. Elżbiety Kiewnarskiej wyruszyła w świat i wszyscy wierzymy, że stanie się ona prawdziwą pomocnicą każdej pani domu na całym obszarze Polski.

H. M.

znaby było wyliczyć cały szereg takich usposabiających do choroby czynników, np. głodzenie, osłabienie po chorobach, brak świeżego powietrza, niedostateczny sen i t. d.

Niekiedy wtargnięcie zzewnątrz bakterij już zjadliwych bez osłabienia ustroju, może spowodować chorobę. Gdybyśmy sobie mogli wyobrazić, że w otoczeniu ludzi niema drobnoustrojów, to same czynniki osłabiające ustrój np. przeziębienie nie zdołają wywołać choroby. Wiemy, że w miejscowościach wysokogórskich, gdzie powietrze zawiera b. mało drobnoustrojów, ludzie znacznie rzadziej chorują na nieżyty górnych dróg oddechowych i na zapalenie płuc. Znany jest fakt, że członkowie ekspedycji do bieguna polarnego, (gdzie powietrze jest b. czyste), którzy wyruszyli ze swego kraju latem, nie chorowali zupełnie przez długi czas, pomimo silnych mrozów, panujących pod biegunem. Nie zanotowano nawet ani jednego przypadku zwykłego kataru. Wystarczyła jednak jedna przesyłka wysłana zimą z kraju rodzinnego, aby ludzie masowo zachorowali na katar, bo wraz z nowymi przybyszami, z zapasami ubrania i żywności przywędrowały drobnoustroje.

Nie lekceważąc więc ochrony dziecka przed oziębieniem, dużą uwagę należy poświęcić temu, aby dziecko izolować dokładnie od chorych na grypę, anginę i t.d. Nawet niewinnego kataru w otoczeniu dziecka nie należy lekceważyć, ponieważ drobnoustroje, które u dorosłego wywołują tylko lekki katar, dla małego dziecka mogą okazać się bardzo zjadliwymi i wywołać ciężką grypę, a nawet zapalenie płuc. Osoba chora, lub zakatarzona nie powinna stykać się z dzieckiem. Nie pozwalajmy kichającym ciociom całować i pieścić dzieci. O ile matka karmiąca ma katar, lub grypę, albo nawet tylko podniesioną ciepłotę bez żadnych innych objawów, powinna jaknajmniej przebywać z dzieckiem, a do karmienia umyć dokładnie ręce, nałożyć fartuch a twarz przewiązać maską z muslinu lub batystu, osłaniającą jej usta i nos. O ile ktoś w domu choruje na chorobę infekcyjną, należy dzieciom zalecić płukanie gardła, 2 razy dziennie, roztworem nadmanganianu potasu lub wody utlenionej. Nie należy zapominać o wzmożeniu sił odpornościowych ustroju zapomocą odpowiedniego odżywiania, odpowiedniej higieny, wietrzenia mieszkania, długotrwałego przebywania na świeżym powietrzu i t. d. Im dziecko ma lepsze warunki, im jego organizm jest bardziej odporny, tem skuteczniej będzie ono walczyć z infekcją, w przeciwnym razie zwyciężają drobnoustroje.

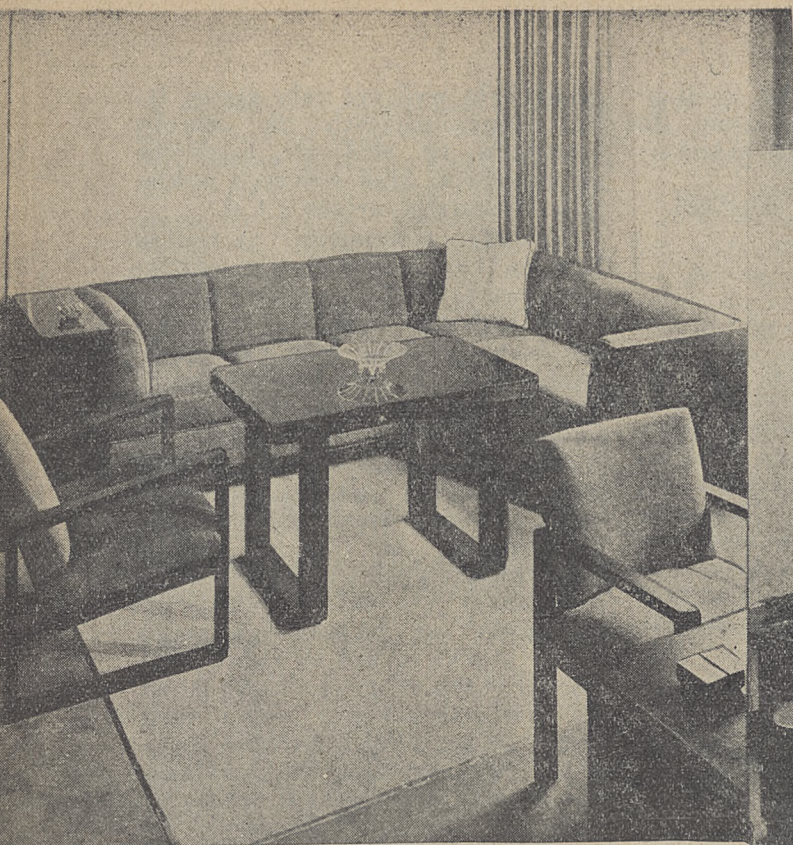
Dr. T. K.

## Jak uchronić dzieci przed infekcją

Późna jesień i zima to okres tak zwanych chorób z przeziębienia, jak katar, angina, zapalenie oskrzeli, zapalenie płuc, grypa i t. d. Wiemy, że dzieci częściej, niż dorośli zapadają na wyżej wymienione choroby. To też matki poświęcają głównie uwagę ochronie dziecka przed przeziębieniem. Ten punkt widzenia jest w zupełności pozbawiony słuszności; w artykule niniejszym chcę jednak zwrócić uwagę na nierównie ważniejszą przyczynę wyżej wymienionych chorób, mianowicie na drobnoustroje. Drobnoustroje są właściwym czynnikiem, wywołującym tak zw. choroby z przeziębienia. A samo przeziębienie tylko umożliwia i sprzyja rozwojowi bakterij.

Drobnoustroje są wszędzie, otaczają nas one niewidzialną gromadą i czyhają na dogodny dla siebie warunki. Są zarówno w otaczającym nas powietrzu, jak i w naszym wła-

snym organizmie. Liczne ich masy znajdują się stale w naszej jamie ustnej, w nosie, gardzieli, na skórze. W warunkach dla organizmu korzystnych mogą one tylko wegetować, nie przyczyniając nam żadnej szkody, nie powodując choroby, nie są wtedy zjadliwe, nie są chorobotwórcze; aczkolwiek te same bakterie mogą stać się dla organizmu zjadliwymi wtedy, kiedy równowaga we współżyciu organizmu z drobnoustrojami zostaje pod wpływem tych czy innych czynników zachwiana na niekorzyść organizmu. Wtedy wybuch choroby. Jednym z takich czynników powodujących porażkę organizmu w walce z drobnoustrojami jest właśnie oziębienie. Oziębienie powoduje ogólny spadek odporności ustroju, a miejscowe przekrwienie i rozpułchnienie błony śluzowej gardła i nosa, i na tem zmienionem podłożu zaczynają się rozwijać bakterie. Mo-



*Mieszkanie jednopokojowe.*



## *Prostota nowoczesnego wnętrza*

Prostota nowoczesnego wnętrza idzie przede wszystkim po linii wygody. Piękne i pożyteczne sprzęty, są projektowane celowo, a użytkowość ich bywa nieraz wielostronna.

Projektodawcy liczą się dzisiaj zarówno ze szczupłością nowoczesnych wnętrz, jak i ze wskazaniem higieny, która nie dopuszcza przeładowania.

Tkaniny przeszłości, nieodzowne pluszowe, wełniane, adamaszkowe, jedwabne podszewkowane portjery, rezerwy kurzu, zniknęły z planu dekoracyjnego. Jak najwięcej światła, powietrza i miejsca; sprzęty proste w liniach wygodne, celowe; charakter wnętrza dostosowany do skali życia, upodobań i rodzaju pracy.

Mieszkania jednopokojowe przestały być, dzięki nowym prądom, typową sypialnią, tak krępującą w obliczu gości. Przyjmują one na dzień charakter estetycznego „pokoju mieszkalnego”, a dopiero gdy wydzwoni godzina spoczynku zmieniają swoje oblicze.

Prostota i celowość nowoczesnego wnętrza, to jeden z najmielszych dorobków doby współczesnej.

V.



# U C Z Y M Y S I Ę G O T O W A Ć

Na prośbę grona naszych Czytelniczek (młodych gospodyń) wprowadzamy dział „nauki gotowania” potraw zasadniczych, ciesząc się możliwością przyjścia z pomocą osobom bezradnym w obliczu zatrudnień gospodarskich, których nie umieją opanować.

Zaczynamy od zupy.

Podstawą zupy jest tak zwany „smak”.

Zupę przyrządza się na smaku z mięsą — rosolę; na smaku z jarzyn, lub poprostu na rozpuszczonym w wodzie buljonie.

Mięso, lub kości przeznaczone na rosół trzeba wymyć w kilku wodach, osączyć, włożyć do rondla, zalać odpowiednią ilością zimnej wody, której daje się zawsze więcej, niż ilość potrzebna do wydania na stół, licząc się z tem, że płyn w czasie gotowania paruje. Zagotować na wolnym ogniu, osolić, dodać włoszczyznę, gotować

dalej na wolnym ogniu pod przykryciem.

Przeciętny czas gotowania dobrego esencjonalnego rosółu z mięsa na sztukamię, to 2 do 3 godzin (zależnie od ilości mięsa) czas gotowania smaku na kościach 2 godziny.

Po ugotowaniu rosółu trzeba go przecedzić przez bardzo gęste sito (specjalne do cedzenia rosółu) tak, aby szumowiny pozostały na sicie, a nie przedostały się do zupy. Zwyczaj „szumowania” rosółu zarzuciłyśmy z chwilą wglębnienia się w zasady racjonalnego odżywiania. Wraz z szumowinami pozbawiamy zupę odżywczych składników.

Jeżeli rosół jest przyrządzony na bardzo tłustym mięsie, zbieramy po ugotowaniu tak zwaną pozłotę, to znaczy tłuszcz spływający na wierzch. Da się to tylko wówczas skutecznie prawidłowo,

jeżeli przestudzimy rosół i zdejmemy tłuszcz krzepnący na jego powierzchni.

Kuchnia współczesna, racjonalna, zaleca w pierwszym rzędzie zupy przyrządzane na smaku z jarzyn. Dla podniesienia smaku można dodać w czasie gotowania buljonu w kostkach, albo podać na stół buljon płynny, którym sobie każdy zupę na talerzu poprawi.

Niezastąpionym dodatkiem do zup jarzynowych są ziarna białej fasoli, dającej smak esencjonalny nieomal jak rosół. Niezbędnym zawsze dodatkiem jest cebula. Pełnowartościowe zestawienie jarzyn używanych na smak, to: marchew, pietruszka, kawałek selera, kawałek pora, kawałek włoskiej kapusty, cebula.

Zupy zabiłane bywają najczęściej przyrządzane wadliwie. Nie każda z nas wie o tem, że śmietanę powinno się dodawać do zupy

już po zdjęciu jej z ognia, w ostatniej chwili przed wydaniem na stół. Gotowanie zupy ze śmietaną zabija życiary (witaminy). Prawidłowe „zabalenie” zupy polega na zagotowaniu smaku z mąką rozprowadzoną przestudzonym smakiem i wlanu zupy do wazy, w której znajduje się wyborowa, świeża śmietana.

Smak zup wykwintnych podnosimy przez rozkłócenie śmietany z żółtkami i dodanie (już w wazie) kawałka surowego masła. Żółtek bierzemy mniej więcej jednego na 2 do 3 osób. Masła łyżeczkę od herbaty na 3 talerze.

Te same zasady obowiązują przy dodawaniu do zupy siekanej zieleńki. Kładziemy ją do wazy, unikając zagotowywania zupy z koperkiem, natką od pietruszki, szczypiorkiem.

Melba.

## JADŁOSPIS TYGODNIOWY SKROMNY

### NIEDZIELA

Barszcz z uszkami.

Sznicyle cielęce — kaszka krakowska na sypko — sos rumiany korniszonowy.

Borówki — ciasteczka kruche domowe.

### PONIEDZIAŁEK

Zupa jarzynowa na buljonie z lanemi kluseczkami.

Placki z kartofli smażone na smalcu.

Kompot z jabłek i śliwek suszonych.

### WTOREK

Zupa rumiana cebulowa z grzankami z chleba.

Kotlety cielęce siekane — marchewka.

Naleśniki z soki.

### ŚRODA

Grochówka na boczku wędzonym.

Makaron włoski z pomidorami. Jabłka.

### CZWARTEK

Kartoflanka na kościach wieprzowych.

Kotlety wieprzowe — puree z kartofli — sałata z kiszzonej kapusty.

Ciasteczka opatrnościowe — herbata.

### PIĄTEK

Zupa grzybowa czysta z łazankami.

Babka z kartofli, sos rumiany ogórkowy.

Omlet biszkoptowy z marmeladą.

### SOBOTA

Zacierka na wodzie ze słoniną. Wątróbka smażona z cebulką, chrzan skrobany — kartofle.

Salatka z surowych jabłek i pomarańczy.

## PRZEPISY KULINARNE

**Zupa rumiana cebulowa.** Ugotować rosół na kościach wołowych 4 cebule cukrowe pokrajać w plastry, dusić z łyżką masła na wolnym ogniu aż do zrumienienia na złoty kolor. Zalać uduszone cebule rosółem, zagotować kilka razy, przefasować przez sito. Zaciągnąć zupę masłem przesmażonym na rumiano z łyżką mąki, zagotować. Oddzielnie podać grzanki z białego chleba. Jeżeli jest w domu kawałek ostrego, suchego sera, można go utrzeć i wsypać na wydaniu do zupy co bardzo podniesie smak.

**Makaron włoski z pomidorami.** Dosić cienki makaron włoski połamać na drobne kawałki, wsypać na obfitą wrzącą wodę, zagotować kilka razy, wylać na durszlak i przelać zimną wodą. Dogotować makaron na obfitej osolonej wodzie, a po odlaniu jej znów przelać zimną wodą i doskonale osączyć. Przyrządzony w ten sposób nie będzie się kleił.

Pół cebuli pokrajać bardzo drobno, poddusić z masłem, wsypać pół łyżki mąki, raz zasmażyć. Kilka łyżek konserwy pomidorowej rozprowadzić buljonem, wlać do masła przesmażonego z mąką. Zagotować mieszając. Doprawić sos do smaku solą i odrobiną cukru. Wylać makaron na miskę, wlać sos, wymieszać. Wysmarować ogniotrwały półmisek masłem, ułożyć na nim makaron w zręczny stos, oprószyć tartym serem szwajcarskim, skropić masłem, zapiec w gorącym piecu.

**Talmousse po włosku.** 15 dk tłuszczu od gotowanej szynki, ¼ litra mleka, 4 łyżki mąki, 5 dk masła, 15 dk tartego sera szwajcarskiego, 6 jajek. Masło i mąka do formy.

Tłuszcz od szynki zemleć dwukrotnie na maszynce, zakładając sitka takie jak do pasztetu. Wlać do rondelka mleko, dodać tłuszcz, mąkę i masło. Wymieszać. Zagotować i podgrzewać chwilę na ogniu mieszając bezustannie. Wy-

studić. Wsypać tarty ser szwajcarski, wbić po jednym żółtku wyrabiając dłuższy czas łyżką drewnianą. Na końcu dodać pianę z białek, lekko wymieszać. Włożyć masę do formy budyniowej wysmarowanej masłem i wyprószonej mąką, gotować na parze pół godziny, poczem wstawić na 15 minut do pieca. Podawać na wygrzonym okrągłym półmisku, wyjęty z formy. Oddzielnie w sosie serce masło sklarowane, albo sos biały pieczarkowy.

**Filety z polędwicy.** Ukrajać grube kawałki polędwicy wołowej wyżyłowanej i obranej z łoju. Każde kawałek rozplaszczyc trochę nożem, uformować w bęsztycki jednakowego kształtu. Zrumienić na gorącym masle z obydwóch stron. Zawczasu przygotować tyle okrągłych grzanek z chleba, ile mamy filetów, ułożyć grzanki na okrągłym półmisku, na grzankach położyć filety, zalać sosem przyrządzonym wg. podanego przepisu. Filety powinny być usmażone po angielsku, to znaczy nie wysmażone, a krwawe.

**Sos szampionowy do filetów.** Półtorej łyżki masła przesmażyć z czubatą łyżką mąki pszennej. Rozprowadzić mocnym rosółem, wymieszać, zagotować mieszając. Zakolobrować sos cukrem palonym (karmelem), poprawić do smaku: sokiem cytrynowym, solą, cukrem, buljonem. Włożyć pieczarki krajane na plasterki (pieczarki wybrać zdrowe, jędrne, krajać wzdłuż wraz z ogonkami) uduszone w maśle i soku cytrynowym. Raz zagotować, dodać łyżkę wina białego. Wylewając sos na filety trzeba uważać, aby pieczarki leżały na filetach. Sos powinien być dosyć gęsty. Oddzielnie podać kartofelki przysmażane.

**Krokiety z gotowanej ryby.** Po ugotowaniu wyjąć rybę z rosółu, osączyć, obrać starannie z ości. Na pół kilograma czystego mięsa rybiego wziąć jedną bulkę otartą ze skórki i namoczoną w mleku,

## JADŁOSPIS TYGODNIOWY DOSTATNI

### NIEDZIELA

Buljon w filiżankach z groszkiem ptyśiowym.

Talmousse po włosku.

Filety z polędwicy — kartofelki przysmażane.

Galaretka z soku pomarańczowego z biszkopcikami.

### PONIEDZIAŁEK

Zupa pomidorowa czysta z grzaneckami.

Mostek cielęcy faszerowany — kartofle pieczone przy mięsie — sałata z czerwonej kapusty.

Pianka z cukru palonego — biszkopciki.

### WTOREK

Zupa neapolitańska z makaronem włoskim.

Kotleciki cielęce bite — sos pomidorowy — kluseczki kładzione. Ogórki z konserwy.

Ptyśie z kremem waniliowym.

### ŚRODA

Kapuśniak z grzybkami — groch żółty ze słoniną.

Bęsztyki wołowe siekane — puree z kartoflami — chrzan.

Sałata z cykorii.

Kompot z suszonych morelek i jabłek.

### CZWARTEK

Czernina z łazankami i owocami suszonymi.

Kaczka pieczona z jabłkami — kapusta czerwona duszona z czerwonym winem.

Suflet cytrynowy.

### PIĄTEK

Zupa rybna z kaszką krakowską w kostkę.

Krokiety z gotowanej ryby garnirowane duszonymi jarzynkami — kluseczki krajane.

Groszek zielony z grzankami.

Pomarańcze.

### SOBOTA

Zupa ogórkowa czysta.

Potrawa z cielęciny w sosie pieczarkowym — ryż na sypko.

Brukselka z masłem.

Mleczko kawowe.

1 jajko, łyżkę masła. Masło utrzeć na śmietanie, dodać bulkę odciśniętą, ucierać na gładką masę, dodając całe jajko. Wymieszać z rybą zmieloną dwukrotnie na maszynce, dodać soli do smaku, odrobine pieprzu białego, trochę siekanej zieleninki. Formować krokiety w formie wałeczków, oprószyć mąką, maczać w rozbitym jajku, skrażyć w tartej osianej bułeczce smażyć na maśle na złoty kolor.

**Groszek zielony suszony.** Groszek zielony suszony, napozór drogi, jest jednak praktyczny w użyciu, a przytem doskonały, jeżeli przyrzadzimy go umiejętnie. Cały sekret polega na tem, aby moczy groszek w wodzie, lub mleku tak długo, dopóki całkowicie nie odzyska pozoru groszku świeżego, to znaczy nie wyrówna powierzchni przez odświeżenie ziarna wchłoniętą wilgocią. Wówczas trzeba groszek wypłókać, osączyć i gotować dopóki nie zmięknie, poczem wodę odlać, dodać sporo masła, dusić jeszcze chwilę dodając soli i cukru do smaku.

Doskonały jest też groszek zie-

lony w sosie śmietankowym. Chcąc go podać w sosie trzeba ugotowany i doskonale osączony groszek wymieszać z sosem i dusić jeszcze chwilę. Dodanie świeżego zielonego koperku drobno posiekanego nada jarzynie pozór i smak „wiosenny”. Sos robi się z mleka wymieszanego pół na pół ze słodką śmietanką. Dodanie surowego masła w chwili wydawania groszku na stół podnosi smak i wykwint jarzyny.

**Pianka z cukru palonego.** Rozgrzać w rondelku czubatą łyżeczkę masła deserowego. Wsypać trzy czubate łyżeczki cukru kryształu upalić na karmel ciemno-złotego koloru. Trzeba uważać, aby zbyt nie spalić cukru, bo będzie miał nie miłą gorycz. Wlać do karmelu  $\frac{1}{4}$  szklanki gorącego mleka. Zagotować. Rozkłócić trzy żółtka z pół łyżeczką maki. Wlać do mleka, podgrzewać na ogniu (nie gotować!) ubijając kopystką drewnianą, aż do zgęstnienia. Przetudzić. Gdy krem wystygnie ubić pianę z pozostałych białek, dodać trzy łyżki pudru, ubijać jeszcze chwilę, wymieszać z kre-

mem, złożyć go w szklane puhaniki, wynieść do zimna. Podawać z lekkimi biszkopcikami.

Podana powyżej proporcja wystarczy obficie na trzy osoby.

**Kompot z suszonych morelek.** Chcąc nadać suszonym morełkom smak i wygląd świeżych trzeba je umyć czysto w letniej wodzie, włożyć na porcelanową miseczkę, zalać letnią wodą, przykryć i pozostawić tak do drugiego dnia. Gotując kompot zlać wodę z morelek, dodać cukru do smaku, zagotować, wyszumować, włożyć do syporu owoce, gotować krótką chwilę pod przykryciem dopóki nie spęcznieją. Nie gotować zbyt długo bo będą zbyt miękkie i niesmaczne. Podając kompot z jabłek i moreli najlepiej jest wyłożyć go na salaterkę dzieloną na przegródki. Nie mieszać kompotu, a układać każdy oddzielnie.

**Cisateczka „opatrznościowe”.** Aczkolwiek przepis na ciasteczka „opatrznościowe” podawałam już w jednym z pierwszych numerów Tygodnika Kobiety, powtarzam go raz jeszcze, licząc się z tem, że nie

wszystkie Panie prenumerują pismo od początku. Ciasteczka te są bardzo tanie, łatwe, prędkie, smaczne. Używamy je jako dopełnienie licznych deserów: kompotów, musów zimnych owocowych, kremów i lodów. Poza tem przechowane w pudełku z białej blachy o szczelnym wierzchu mogą być przechowane czas dłuższy, nie tracąc chrupkości i wykwintnego smaku.

Proporcja: 3 jajka, 15 dk cukru pudru, 15 dk maki pszennej, sproszkowana wanilia. Masło do wysmarowania blachy.

Ubić na pianę jajka z cukrem i wanilią. Dodać mąkę, ucierać łyżką drewnianą jeszcze kilka minut.

Wysmarować blachę masłem deserowym. Kłaść łyżeczką małe ilości ciasta, zachowując dosyć duże odstępy, aby ciasteczka nie łączyły się ze sobą, gdy rozleją się pod wpływem gorąca. Piec w bardzo gorącym piecu na złoty kolor. Miękkie w chwili zdejmowania z blachy, nabierają stygnąc miłej chrupkości. W razie gdyby zwilgły przed podaniem odświeżamy je wsuwając na chwilę do piecyka. Melba.

## Nasze sprawy

Drogie Kochane Panie! Doszedł już Waszych rąk żywy komentarz do wywiadów telefonicznych i odpowiedzi na listy, kierowane do naszej redakcji. Pierwszy numer „Spółdzielczego” Tygodnika Kobiety dotarł już do Czytelniczek i Prenumeratorek, referując słowem wstępem, które w redakcyjnej „dwarze” ochrzciłyśmy mianem „Manifestu”, zmiany, jakie zaszły na terenie naszego wydawnictwa.

Pierwszy „nasz” numer ujął te sprawy oficjalnie — ja dzisiaj pragnę pomówić o nich z Paniami, tak, jak zwykłyśmy rozmawiać od lat między sobą — po kobiecemu. Pozwólcie mi zapomnieć na chwilę, że nie siedzimy w jakimś zacisznym pokoju, na miękkim tapczanie, (czy twardym krześle), że nie zwierzamy się sobie z serca do serca, a korespondujemy na łamach pisma.

Gehenne ostatnich tygodni, przeżywanach pod znakiem lęku o życie Tygodnika, wyrównało inż zwycięstwo, które nie pozwoliło mu umrzeć przedwczesną śmiercią. A jak to było opowiem.

Zbudowany naszym porywem i zapalem, oparty na prywatnym kapitale wydawcy, który pomimo ideowego założenia nie mógł uważać go inaczej, jak za dochodowy warsztat pracy. Tygodnik Kobiety stanął wkrótce pod znakiem zapytania. Zaświadczenie „być, albo nie być” zawisło ponad nim jak nieszczesne fatum, któremu my, garstka kobiet, wypowiedziałyśmy walkę na śmierć i życie. Szala losu ważyła się, a my wdzierałyśmy śmierci nasze ukochane dziecko, jak matki, dla których nie ma niepodobieństw.

„Chcieć to móc” — wielka prawda życiowa — jeszcze raz została czynnem zadokumentowana, bo oto spłynęło na nas objawienie, że sprawę czysto kobiecą (jest nią

przecież pismo kobiet?) trzeba ratować czysto kobiecimi siłami.

W myśl tej idei zawiązuje się dosłownie w przeciągu kilkunastu godzin Kobięca Spółdzielnia Wydawnicza! Garstka entuzjastek, staruch, średnich i młodych porywa się z przysłowiową „motyką na słońce”. Zebranie organizacyjne. Uchwalenie statutu. Upoważnienia dla Komitetu Organizacyjnego. Po tygodniowych pertraktacjach z wydawcą Tygodnik zostaje przejęty, wydany, staje się wesołym dobrem wszystkich kobiet, gromadzącym się pod jego sztandarem.

Nasze grono powiększa się z dnia na dzień. Nasze aspiracje, rozrastają się do rozmiarów zakroionych na wielką miarę. Tygodnik, który w dniu powzięcia projektu zawiązania Spółdzielni zdawał się być celem, dzisiaj staje się środkiem prowadzącym do wielkich, porywających celów.

Oto mamy swój organ. Organ Kobięcej Spółdzielni, która zamierza budować piękne i wiekopomne dzieło.

Dażymy do stworzenia jak najszerzej ujętej (moralnie i materialnie) samopomocy.

Dażymy do stwarzania klubów kobiecych, „domów kobiet”, na całym terenie Polski. Marzymy o domach wyuczynkowych, a pierwszym krokiem do zrealizowania marzenia jest zaofiarowana nam na dwa miesiące w roku wila nadmorska — własność jednej z naszych członkiń.

Zamierzamy urządzać: odczyty, wieczory dyskusyjne i literackie, pokazy, poradnie dla kobiet.

Nie chcemy żeby nasze członkinie tufały się po przesyconych kuchennymi wyziewami, szarzych, smutnych, niedbałych jadłodajniach, to też zamierzamy stwarzać jadłodajnie wzorowe, nie „zło konieczne”, a miejsce miłego wypo-

czynku: „jadłodajnie dla ciała i dla ducha”.

Zamierzamy z czasem wydawać książki piór kobiecych.

Postanawiamy pracować usilnie, pracować bez wytchnienia w imię ulżenia ciężaru wszystkim kobietom, w imię wyczarowania usmiechu na szarym ekranie naszego kobiecego życia.

Rozpoczynamy nową erę pracy pod znakiem lojalnej solidarności, zrównania praw wszystkich kobiet, które spotkają się na terenie Spółdzielni.

Mocna, żelazna, zaprzysiężona solidarność to zwycięstwo „naszej sprawy”.

Dzielić się z Wami Drogie Panie celami i dążeniami Spółdzielni, wierząc w to, że staną się one wkrótce „naszym wspólnym celem”. Ratując Tygodnik Kobiety żadna z nas nie ratowała „swojego pisma” ratowałyśmy nasze pismo — zespołu redakcyjnego i zespołu Czytelniczek. Że jest ono „Waszem” nie wątpię, bo dowiodły mi tego setki telefonów, liczne listy, jakie docierały do nas w okresie przerwy. Ani jednego gorzkiego słowa, ani jednej wymówki. Ani jednego zapytania: „co się stanie z opłaconą prenumeratą?”. Dyżurowałam przy telefonie od rana do wieczora, odpowiadając na każde zapytanie i stwierdzam z radością, że nie spotkałam się z czem innym, jak niepokojem o losy pisma i radością na wieść o tem, że przecież nie przestanie wychodzić.

Nie wiem, czy którejś z Was spełniło się marzenie snute w ostatni wieczór wigilijny pod choinką — wiem jednak, że połowa mojego marzenia przyjęła już kształt realny, ucieleśni się całkowicie kiedy nasz krąg spółdzielczy powiększy się, wchłaniając w siebie nie tylko autorki i redaktor-

ki, nie tylko zawsze gotowe do apelu społecznicze, nie tylko mieszkanki stolicy, ale najszerze warstwy Czytelniczek, które złączą się z nami węzłem moralnej i materialnej spółdzielczości.

Pismo oparte o spółdzielczy, kobiecy kapitał, składający się z drobnitkich cegiełek, to nasza siła i nasza duma. Bez subsydjów i pożyczek, bez kredytów i kapitału jednostki, stworzone i żyjące naszym wysiłkiem będzie miało wreszcie prawo głosu, którego nie odbierze mu niczyja wola.

Statut nasz, który ogłosimy drukiem w Tygodniku Kobiety, przewiduje przy rozwoju Spółdzielni nie tylko oprocentowanie udziałów, ale i ewentualny częściowy zwrot prenumerat — reszta do robotników idzie na korzyść wspólnego dobra, na budowę placówek, które Paniom zreferowałam.

Jeżeli zrzeszy się nas 3.000 będziemy samowystarczalne, jeżeli zrzeszy się nas 5.000 będziemy silne, jeżeli legion nasz będzie wzrastał z roku na rok, staniami się potęgą.

Któż z nas kobiet współczesnych nie pragnie być częścią składową twórczej potęgi, szczególnie jeżeli może do tego dojść za cenę, chociażby jednego udziału!

Zanim zapoznamy Panie Czytelniczki z całokształtem statutu i dołączymy do Tygodnika deklarację, podajemy do Ich wiadomości, że udział wynosi zł. 10, wpisowe zł. 2. Udziałowcy odpowiadają za Spółdzielnię tylko do wysokości wpłaconego udziału, a jedyną ciążącą na niej obowiązek to prenumerata Tygodnika Kobiety. Udziały mogą być spłacane ratami w terminach zgóry określonych.

A więc umysłem i sercem Waszym powierzam naszą wspólną sprawę. Umysły niech ją przemys-

ślę — serca niech ją odczuja, a jedno i drugie niech działa się myślami i uczuciami z nami.

Czekamy Waszych listów, Waszych uwag, projektów, żądań. Liczymy na Waszą solidarność, na odzew naszego apelu.

Wanda Dobrzańska.

#### DO WSZYSTKICH PAŃ!

Korzystając z zaproszenia Redakcji do nawiązania korespondencji z Czytelniczkami „Tygodnika Kobiety”, pragnę w liście tym poruszyć sprawę, która przysparza zainteresuje ogół kobiet i zachęci te panie do pracy, które żyjąc w podobnych, jak ja warunkach, mogłyby u siebie wprowadzić przemysł domowy, tak ściśle związany z polską tradycją.

Jestem żoną ziemianina w powiecie kołomyjskim, któremu, jak każdemu dziś rolnikowi w Polsce ciężko żyć z pszenicy i żyta, a równocześnie zachować dla dzieci ziemię nienaruszoną, postanowiłam zatem stworzyć placówkę przemysłową i robić kilimy na sprzedaż.

Przed dwoma laty zorganizowałam pracownię kilimkarską o kilku warsztatach, a sąsiadując o międzę z polską wsią, daję pracę dziewczętom polskich osadników, wznawiając dawną polską tradycję współpracy dworu ze wsią. W przedsięwzięciu tem mojem dużą pomocą jest dla mnie wspaniała książka prof. Szumana „Dawne kilimy w Polsce i na Ukrainie”, w której autor uczy jak należy kilim pojmować i jak go tworzyć. Niestety, twórczym umysłem nie jestem, przygotowuję placówkę przemysłu chałupniczego dla moich córek, z których jedna zdradza duże zdolności rysunkowe. Ja osiągnęłam już duże zadowolenie z dotychczasowej mej pracy, mam stałe zamówienia, a na tegorocznych „Targach Wschodnich” we Lwowie sprzedałam wszystkie przywiezione kilimy i otrzymałam moc zamówień.

Zatem tego rodzaju placówka jak moja, powinna zainteresować polskie dwory, zwłaszcza ziemianki tu na Pokuciu, gdzie są tak doskonałe warunki, duże ilości wełny górskiej z owiec t. zw. świnia-rek, gdzie są tysiące robotników-kilimkarzy, wprawdzie zmanierowanych i źle szkolonych, ale sta-

nowiących bardzo dobry materiał do prowadzenia i nauczania. Poza tem co za kopalnia wzorów właśnie na Pokuciu, po dworach ziemian-Ormian, wśród księży ruskich! Udać mi się niejednokrotnie taką rzecz zdobyć i cieszyć się tem, jak największym skarbem. Niedawno otrzymałam wzór prymitywu huculskiego, ogromnie ciekawy ze względu na pierwotną twórczość. Prawdziwa, szczerza, ludowa sztuka!

Na Targach we Lwowie miałam między innemi ofertę pewnego Anglika, na dostarczenie do Londynu 100 sztuk jednego dużego kilimu z książki prof. Szumana, który autor przytacza jako niezmiernie piękny ludowy kilim. Poza tem ofertę z Pol. Amer. Towarzystwa Handlowego w Warszawie na eksport kilimów do Ameryki. Cóż moja mała wytwórnia o kilku warsztatach mogłaby eksportować? Po powrocie z Targów ze Lwowa projektowałam zorganizowanie syndykatu czy też zrzeszenia, lecz po głębszym namyśle doszłam do przekonania, że praca tego rodzaju musi powstać własną inicjatywą i własnym kapitałem, bez żadnych wojewódzkich subwencji i pomocy nazewnątr. W każdym dworze polskim znajdzie się wolny pokój, w którym można na początek postawić jeden warsztat, który tu u nas nabyć można w cenie około zł. 40 (mnie pierwszy warsztat zrobił miejscowy cieśla z naszego materiału, a za robotę dostał pastwisko na 2 sztuki). Każda pracownia musi zarobić na swój rozwój. Każda z pań musi być u siebie kierowniczką, magazynierką, projektodawczynią i ekspedientką, mamy pszenicę i żyto i cieleta, które zwłaszcza w lecie sprzedaje się po kilka złotych, więc utrzymanie robotników tanie, można więc sprzedawać kilimy po zł. 18.50 za 1 m<sup>2</sup>, przy której to cenie całkiem godziwie i przyzwoicie zarabiam.

Sprawę tę zatem w liście do Pań w tym celu poruszam, by zachęcić Czytelniczki „Tygodnika Kobiety”, które mają możność uruchomienia tego rodzaju placówki u siebie, do niesłychanie miłej pracy, która da ogromnie duże zadowolenie, przyozdobi nasze dwory, wojną zniszczone. Wnętrza staną się przytulne i mi-

łe, a po zaspokojeniu własnych potrzeb, zapłaceniu „frycowego” za naukę, praca na eksport, w świat!

Wydarcie tego domowego przemysłu z rąk handlarzy, którzy zalewają Polskę potwornymi wyrobami, jest naszym świętym obowiązkiem.

Na zakończenie pozwalam sobie również w tym liście poruszyć jeszcze jedną sprawę.

W „Ilustr. Kurjerze Codziennym”, dnia 29.9.1935 r. przeczytałam nieoceniony artykuł, podpisany przez p. T. Z. p. t. „Czy Polacy nie lubią dobrobytu”? Zacytuje tu niektóre zdania z tego artykułu, wywołanego polemiką znakomitego pisarza p. Ferdynanda Goetla z p. Kaden-Bandrowskim. Co za wspaniałe padły tam słowa, które powinny znaleźć echo w całej Polsce! Trafić do serc i dusz tych wszystkich naszych rodaków, którzy jeszcze nie rozumieją, że „praca dla siebie jest najlepszą pracą dla Państwa”, że „dobrobyt w Polsce powinien wreszcie osiągnąć legitymację moralną” i że „Polacy najbardziej wzbogacają Państwo, gdy myślą o sobie, gdy wydają i intensywnie pracują dla siebie i u siebie. Naprawdę „człowiek, który opiera swą pracę na zysku, organizuje przemysł czy handel, staje się społecznie, towarzysko podeirzany”. Zauważyłam to w czasie Targów, gdy moja znajoma, która mnie tam odwiedziła, żonę wyższego urzędnika, poprosiłam by mnie na chwilę zastąpiła w stoisku. Prośbę moją przyjęła niechętnie, mówiąc, że się do tego nie nadaje, ja zaś wyczułam przedewszystkiem, że tu chodzi o to, by jej ktoś nie podeirzwał, że jest „kunczychą”. Tak myślących ludzi w Polsce są całe legjony, dlatego też artykuł p. F. Z. ma doniosłe znaczenie wychowawcze i jest pierwszorzędnym zagadnieniem społecznym.

Proszę przyjąć wyrazy prawdziwego poważania oraz serdeczną podziękę za możność podzielenia się tem, co mnie raduje, a zarazem gębi, z Czytelniczkami Tygodnika, między którymi znajduję napewno zrozumienie i tak bardzo dziś pożądany oddźwięk.

Bronisława Linde.

#### HALLO PISKLETA DZIENNIKARSKIE!

Więc najpierw chciałam powiedzieć wszystkim tak urbi et orbi, jak bardzo cieszymy się z powstania pierwszej w Polsce Kobiecej Spółdzielni Wydawniczej. Cieszymy się — to stanowczo za blade określenie. Ale co za „my”? Naturalnie my, młode siły literackie, tak zwany w potocznej mowie narybek dziennikarski, wychowany w mrocznych salach uniwersytetu, świeżo wypuszczony za próg Wyższej Szkoły Dziennikarskiej, lub też zupełnie domowego chowu.

Bo, że zła passa panuje nad światem, że obrzydliwy kryzys dusi państwa w swych żelaznych łapach, o tem wiedzą wszyscy, nie wyłączając bardziej roztropnych niemowląt.

Piszą ludziska na ten temat, rozprawiają, powstają dzieła, poruszające różne niedole dnia dzisiejszego — „Jestem głodny”. „Grypa szaleje w Nawrawie” — ale nikomu nie przyjdzie do głowy rzucić choć jedno pytanie w rodzaju Quo vadis szczeniaku dziennikarski? Dokąd? Naturalnie do redakcji jakiegos pisma. Zastanów się co czynisz nieszczęsną istotą!

Pan redaktor z zasady jest zaswoany rekwizitami samych słów, które błagają go o umieszczenie swoich utworów w jego poczytnym piśmie i dlatego też niewnie z wyżyny biurka redakcyjnego poprostu, ani słówkiem nie może cię objaśnić, jak bardzo w jego oczach mizerne przedstawiasz homo. Zato ostodzi ci odprawę pan sekretarz, który własnorecznie (słuchajcie, słuchajcie!!!) wrzuci twoją pracę do kosza. Wycho- dzając spytą cię unierzeimie wydawca, pan życia i śmierci, „a panienka czego tu”, co zresztą nie można brać za złe, gdy się wie, że wielki ten człowiek nie znosi pytania się po korytarzach. Jedynie okrucieństwa humanitarnych uczuć wykaże sekretarz pana sekretarza, ale i on poradzi tylko łagodnie, aby zarzuciwszy piśmienie wsiść za mąż, przyczem bynajmniej nie zdradza ochoty do ewentualnego wystąpienia w roli kandydata do

Redakcja i Administracja Tygodnika Kobiety prosi Panie Prenumeratorki o regularne wpłacanie prenumerat. Zaległości naruszają równowagę budżetu, utrudniają pracę, wstrzymują rozwój pisma, które pragniemy postawić zarówno pod względem treści, jak i wyglądu zewnętrznego na najwyższym poziomie.

Prenumeraty wpłacać można:

- a) w każdym urzędzie pocztowym, wypełniając niebieski przekaz rozrachunkowy (koszt przekazu 1 grosz);
- b) na pocztce lub w P.K.O. na konto Tygodnika Kobiety Nr. 13191, wypełniając blankiet P.K.O.;
- bezpośrednio w Administracji — Warszawa, ul. Okólnik 11a.

W imię najżywoźniejszego hasła chwili, konieczności oszczędzania, zwracamy uwagę wszystkich Pań Czytelniczek na korzyści wynikające z prenumerowania, a nie nabywania poszczególnych numerów Tygodnika Kobiety!

Numer w sprzedaży kosztuje	50 gr.
Numer w prenumeracie wynosi niecałe	40 gr.

#### CENY PRENUMERATY:

Miesięcznie	Zł. 1.75
Kwartalnie	Zł. 5.00
Rocznie	Zł. 20.00

# NIEUDANA SUKNIA

Która z nas nie zna tej troski; Zbyt szybka decyzja i smutne jej następstwa: nieodpowiedni fason — zły krój — kolor nietwarzowy, lub niemodny. Nieudana suknia wisi w szafie i przy każdym widoku przysparza nam nowego zmartwienia.

Doświadczenie tego rodzaju powinno nas pouczyć, że sztuka ubierania się jest właściwie sztuką wybierania, a więc namyśleć się i poradzić trzeba przed tak ważnym krokiem, jakim jest sprawianie nowej sukni.

Nie każda z Pań wie, że istnieje już w Warszawie PORADNIA MODY (mieszcząca się przy OGÓLNEJ PORADNI GOSPODARCZEJ). Daje ona możliwość odpowiedniego wyboru sukni, mając stale na składzie najnowsze modele, paryskie i wiedeńskie żurnale, formy bibułkowe, próbki najmodniejszych materiałów, poza tem wskazuje źródła zakupów, daje adresy odpowiedzialnych krawców. Nie będzie więcej

zmartwień powodu nieudanych sukien jeżeli zasiagniemy w porę rady PORADNI MODY, która mieści się przy ulicy Świętokrzyskiej 17 m. 3.

## CZYTELNICZKI TYGODNIKA KOBIETY

MOGA OTRZYMAĆ FORMY BIBUŁKOWE WSZYSTKICH MODELI PODAWANYCH NA 3 STR. OKŁADKI

W PORADNI MODY—Warszawa, Świętokrzyska 17

w cenie: Formy większe (palta, suknie i t. p. 2 zł. 50 gr.

Formy mniejsze (bluzki, spódnice, bielizna) 2 zł.

Prenumeratorki Tygodnika Kobiety mają prawo do otrzymania formy bibułkowej jednego z modeli podanych w piśmie.

Z RABATEM 50%

twojej ręki. Jakim ratunkiem, portem dla naszych prac i ambicji staje się Tygodnik Kobiety, pismo niezależne od woli i kaprysów dyktatora-wydawcy tego nie potrzeba udawać. Zniknął koszar wyniosłych kierowników, a jego miejsce zajął szczerzy serdeczny stosunek koleżeński do młodszych towarzyszek pracy. Wystraszonemu popychanemu szczeniści wyjęto z łap wygnieciony rękopis, fachowa i życzliwa rada rozjaśnia niepewność i niedociągnięcia i prowadzi na właściwą drogę. Więc jak tu się mamy nie cieszyć z posiadania własnego pisma, gdzie w tak miłej atmosferze hoduja się pod pieczołowitą opieką naszej p. Redaktorki przysze (daj Boże!), asy piśmiennictwa i nie krzyczeć z całych sił tak, aby cała Polska mogła usłyszeć:

„Niech żyje pierwsza polska kobieta Spółdzielnia Wydawnicza!”  
Uf, zmęczyłam się.

Jedno ze szczeniactw dziennikarskich

PANNIE MARYSI Z NAD MORZA

Droga Panno Marysiu! Feminizm to przestarzałe słowo. Nie zamierzamy bynajmniej walczyć z mężczyznami, ani zwalczać mężczyzn to byłoby śmieszne, nielogiczne, nieżyłowe.

Jest tak, jak Pani przewiduje: członkiem spółdzielni może być tylko kobieta. Praca wynikająca z naszych zamierzeń będzie od-

dawana w ręce kobiet. Nie znaczy to jednak, abyśmy chciały np. uśmiercić stróża domu, w którym będzie się mieścił nowy lokal redakcyjny, za sam fakt, że jest mężczyzną. Przeciwnie przewidujemy nawet jego współpracę, np. ekspedycja pocztowa Tygodnika Kobiety, lub jakieś inne równie „ciężkie” zadanie.

Rozumiem Pani zapal do „czysto-kobiecej” sprawy, ale Kochana Panno Marysiu wystrzegajmy się krańcowości, to takie nieżyłowe.

Pozdrawiam Panią radośnie, jako pierwszą udziałowczynię z dalekiego świata i dziękuję serdecznie, że udział swój zgłosiła Pani wprost na moje ręce, zaznaczając, że „właśnie na tem specjalnie Pani zależało”.

Czy pozwoli mi Pani uściskać młodą osobkę, która napewno mogłaby być moją córką (sądząc z wieku) i polecić jej młodemu entuzjastycznemu sercu Tygodnik Kobiety, który tak bardzo pragnie mieć, jak najszerzy krąg młodych i najmłodszych przyjaciółek.

Dowidzenia do następnego listu. Proszę odzywać się do nas i przyjąć serdeczne pozdrowienia od

Wandy Dobrzańskiej

## DO WSZYSTKICH PAŃ!

Która z Pań, wyjeżdżając, lub zwijając mieszkanie wolałaby po-

ownie odpowiedzialnej osobie za-  
miast narażać je na zniszczenie.  
płacąc przytem wysokie składowe,  
zechce zwrócić się telefonicznie,

lub listownie do Redakcji. Tel.  
6.66-35 — godz. od 11 do 3.

Redakcja.

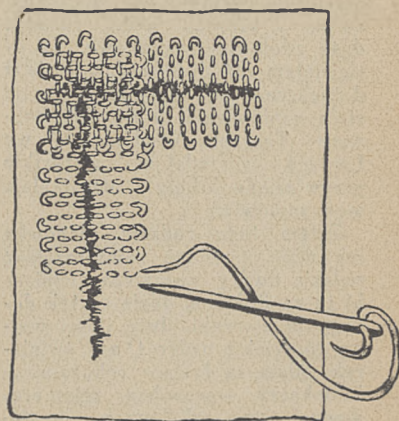
## NAPRAWIAJMY

Cerowanie w deseń stanowi od-  
rębną, trudną i rzadko obecnie  
stosowaną naukę. Jest ono bar-  
dzo pracowite, więc przy dzisiej-  
szym życiu nagwałt, przy braku  
czasu i prawdziwie wartościowej  
bielizny — nie do stosowania.  
Naukę tę posiadają dawne wy-  
chowanki klasztorów, gdzie z wiel-  
ką cierpliwością nauczycielek i  
uczennic uczono tej sztuki.

Cera niewidoczna służy do zre-  
perowania rozdarcia, którego os-  
nowa została niezupełnie przer-  
wana; nie wycinając jej, zbliża  
się oba uszkodzone brzegi do sie-  
bie i drobnymi ścieżkami ceruje  
rozdarcie. Aby nie ściągnąć ma-  
terjału, trzeba podszyc uszkodzo-  
ne miejsce sztywnym papierem,  
lub przypiąć szpilkami do twardo  
napchanej trocinami poduszeczki.

Mało komu znany jest sposób  
krytego cerowania sukna zapo-  
mocą włosa; robota ta wymaga  
dużo dokładności i staranności,  
jednak dla osoby zręcznej nie  
przedstawia wielkich trudności, a  
daje znakomite rezultaty. Stosu-

je się ją przy reparacji sukiennych  
ubrań i okryć męskich i damskich.  
Cerowanie to musi być bardzo gę-  
ste i powtarzane z prawej i lewej  
strony. Igłę wkłada się w każde  
miejsce, z którego wyszła, i na-  
tychmiast odchyła lekko w środku.



Sposób cerowania materiału roz-  
dartego pod prostym kątem.

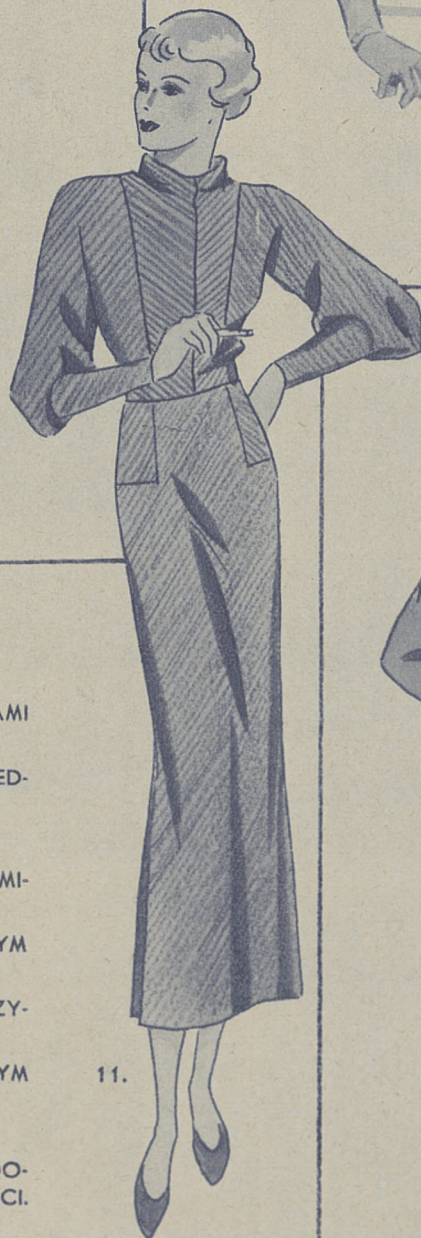
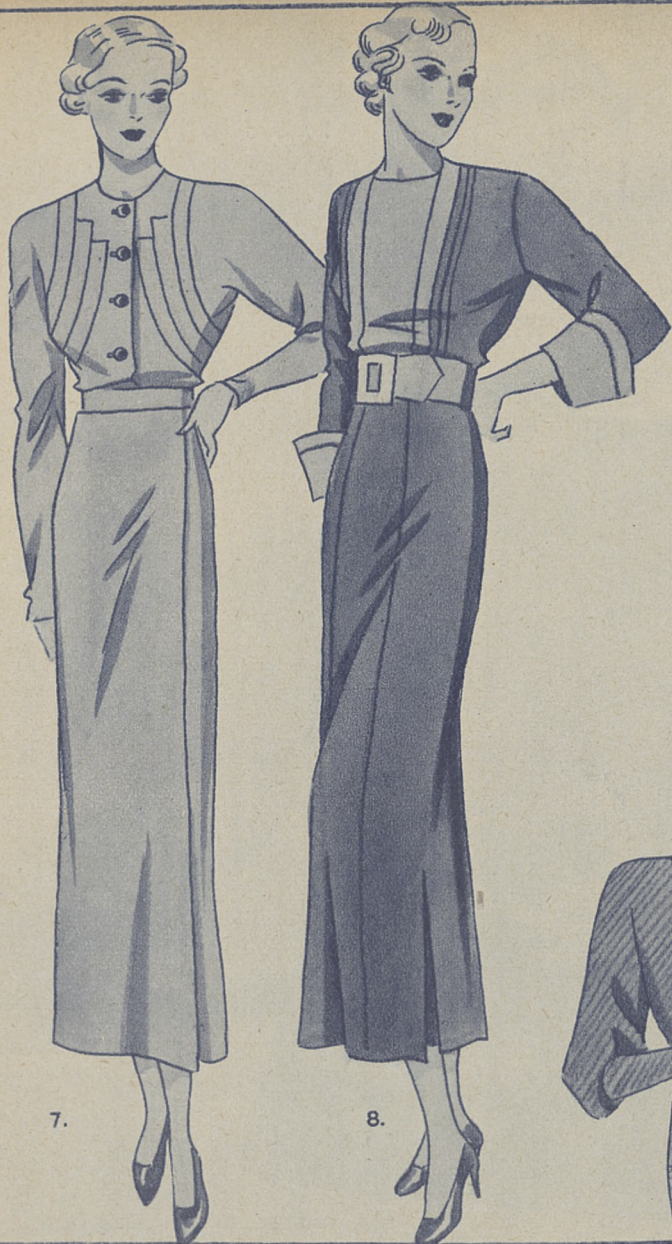
TREŚĆ NUMERU: W poszukiwaniu nowych dróg — Anna Paradowska Szelałowska. Helin ognisko dla starców — Hanna Muszyńska. Żeby tylko nie to — Zofja Petersowa. Redukcja mężatek — Marja Szachówna. Aniuta — Tadeusz Heller. Wywiad z panią M. Issaakową — P. Frączkówna. Uzurpator — powieść — William Locke. Pani inżynierka — J. Surynowa-Wyczółkowska. Gałązka jemioli — nowela — Janina Chmielec. Rozmowy literackie — Zofja Miszewska. Na marginesie życia. — Książka do poduszki — Stefania Jankowska. Instytut Reduty dla dzieci — Al. Kuwiecińska. Z teatrów — Zofja Miszewska. Ze srebrnego ekranu — es-ka. Bal mody — Well. Brunetka — brunetkom. Codzienna gimnastyka. Kącik radiowy. Jak obronimy się w domu przed gazami trującymi. Serwetka haft angielski. Kamizelka — Mariog. W obronie dnia powszedniego — Wanda Dobrzańska. Z dobrodziejstw cywilizacji — Pani Elżbieta. Nie narzekajmy — Janina Wąglowa. Nowa książka kucharska — H. M. Jak uchronić dzieci przed infekcją — Dr. T. K. Prostota nowoczesnego wnętrza — V. Uczmy się gotować — Melba. Jadłospis skromny i dostatni, przepisy kulinarne — Melba. Nasze sprawy. Naprawiajmy — H. Z.

Prenumerata: miesięcznie 1 zł. 75 gr., kwartalnie 5 zł.

WYDAWCA i REDAKTOR: za Komitet Organizacyjny Kobiety Spółdzielni Wydawniczej — Zofja Petersowa.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Warszawa, Okólnik 11-a, tel. 666-35.

CENY OGŁOSZEŃ: 1 mm. 1 szpaltowy w dziale 3 łamowym 75 gr., cała strona 550 zł.; w dziale 4 łamowym 50 gr., cała strona 495 zł.



7. SUKNIA WEŁNIANA PRZYBRANA PLISAMI Z TEGO SAMEGO MATERJAŁU.

8. SUKNIA Z WEŁNY W DWÓCH CIENIACH JEDNEGO KOLORU.

9. BLUZKA Z BIAŁEGO JEDWABIU.

10. BLUZKA Z CZARNEJ TAFY Z BIAŁĄ KAMIZELKĄ.

11. SUKNIA Z WEŁNY W PRAŻKI ZE STOJĄCYM KOŁNIERZYKIEM.

12. SUKNIA WEŁNIANA Z BIAŁYM KOŁNIERZYKIEM I CIEMNYM SKÓRKOWYM PASKIEM.

13. SUKNIA Z WEŁNY DESENIOWEJ Z CIEMNYM SZALIKIEM.

\*

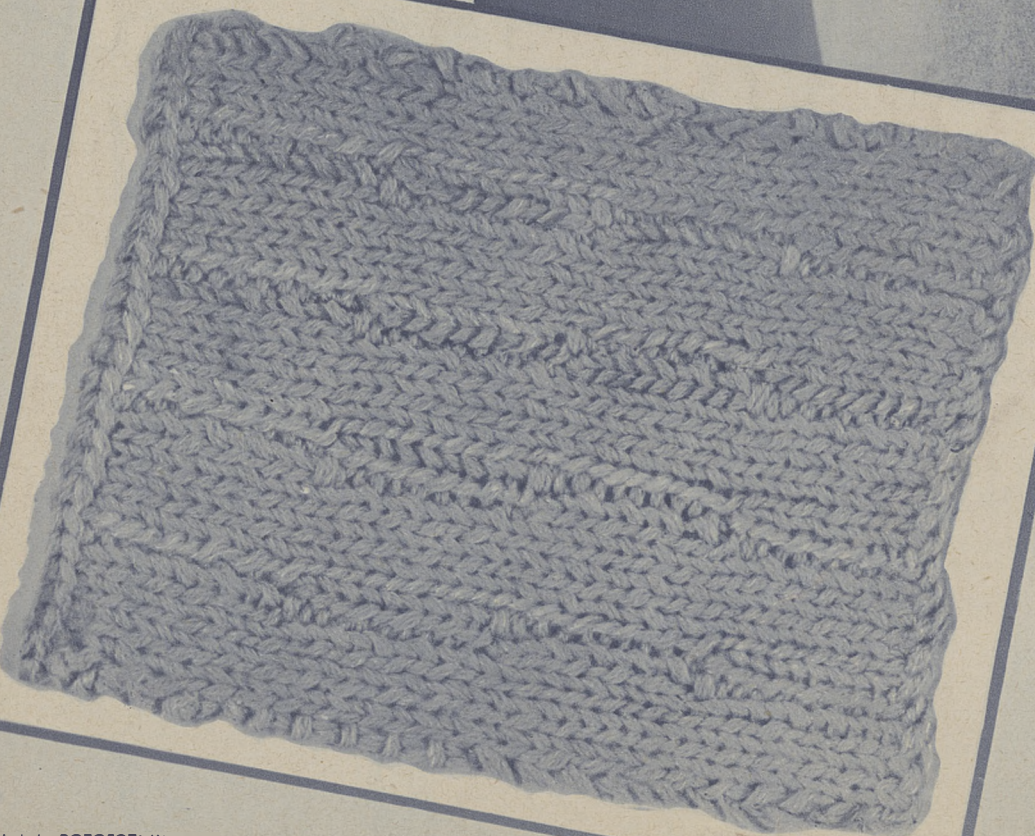
PIĘKNY MEBL OKO PIĘŚCI, MIESZKANIU DO-  
DAJE TREŚCI I PODKREŚLA WDZIEK NIEWIEŚCI.  
MEBLE: NOWY ŚWIAT TRZYDZIEŚCI.



# Sweater na chusteczki



*K. Hoffmann.*



## Wełna Molly. Druty Nr. 3

Rząd 1-szy: 4 prawe, 1 lewe, 4 prawe, 1 lewe, 4 prawe i t. d.

Rząd 2-gi i rzędy parzyste przerabiać tak jak robota wykazuje t.j. nad oczkami prawymi prawe, nad lewymi lewe.

Te dwa rzędy przerobić pięć razy.

Rząd 11-ty: 3 prawe, 1 lewe, 4 prawe, 1 lewe, 4 lewe.

Rząd 12-ty i rzędy parzyste tak jak robota wykazuje.

Te dwa rzędy przerobić 5 razy.

W dalszym ciągu zaczynać od 1-ego rzędu.